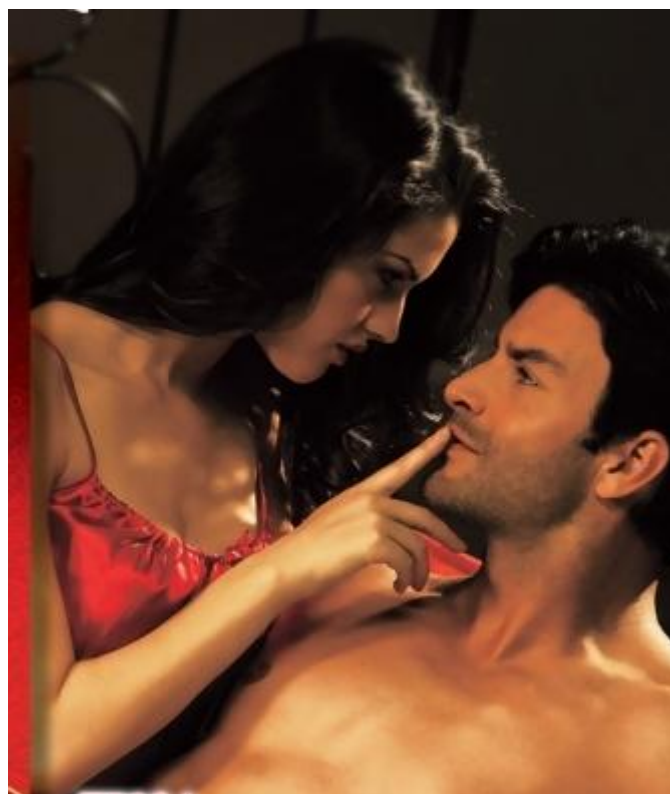




Sarah M. Anderson



Sypiając z wrogiem

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dan Armstrong zabrał z sobą na przejażdżkę rewolwer, choć nie sądził, by mu się przydał. Rzadko nosił broń, wuj jednak nalegał, żeby bez niej nie oddalał się od domu. A ponieważ wuj po raz pierwszy od lat zatroszczył się o jego bezpieczeństwo, Dan postanowił go posłuchać.

Mieszkał we wspaniałej posiadłości tuż za Fort Worth, ale w północnym Teksasie nie widywało się tak okazałych sosen czy klifów z piaskowca jak nad rzeką Dakota. No i ten las... Człowiek czuł się tu jak na Dzikim Zachodzie.

Szkoda, pomyślał Dan, że przyroda ucierpi na poczynaniach firmy. Wuj, Cecil Armstrong, właściciel połowy Armstrong Holdings, zamierzał wyciąć setki hektarów lasu, a następnie pół kilometra dalej zbudować zaporę na rzece.

Dan powiódł wokół wzrokiem. Miał wrażenie, że dziś te tereny wyglądają identycznie jak przed setkami lat, kiedy zamieszkiwali je Indianie i kowboje. Przymknął oczy; niemal słyszał okrzyki wojenne i tętent koni.

Ale to chyba naprawdę tętent... Po chwili dźwięk ucichł. Dan nasunął głębiej kapełusz, by nie raziło go słońce, i odwrócił się w siodle. Jakies sto metrów za sobą, na piaszczystej ścieżce, ujrzał chmurę kurzu. Instynktownie zacisnął rękę na rękojeści rewolweru. Czekał. Chmura opadła, odsłaniając postać na koniu. Dan zamrugał. Postać nie znikła. Potrząsnął głową. Obraz się nie zmienił. Na koniu rasy Pinto siedziała indiańska księżniczka, której długie włosy powiewały na wietrze. Dan nie czuł wiatru. Był zbyt zszokowany, by czuć cokolwiek.

Kobieta miała na sobie krótką sukienkę z kozłej skóry sięgającą do połowy uda oraz proste mokasyny. Jej koń zaś miał pysk pomalowany na czerwono - czyżby w barwach wojennych?

Dan przetarł oczy. Odkąd trzy dni temu przybył do Dakoty, widział paru Indian z plemienia Lakotów, ale wyglądali zupełnie inaczej. Kobieta przechyliła głowę. W jednej ręce trzymała wodze, druga zwisała wzdłuż ciała. Dan odsunął rękę od rewolweru. Takiego widoku się nie spodziewał. Cecil uprzedził go, że miejscowi to banda leniwych pi-

jaków, ale ta Indianka... Była olśniewająca. Nigdy w życiu nie widział piękniejszej istoty. Czuł narastające podniecenie.

Uśmiechnęła się. Z tej odległości nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy, ale zęby miała lśniące i białe. Nagle wydarzyło się kilka rzeczy naraz: kobieta uniosła rękę, jej koń wierzgnął, kapelusz Dana spadł na ziemię, a doliną wstrząsnął potężny huk. Kobieta znikła. Dan instynktownie spiął konia i ruszył w pogoń. Po chwili zagłębił się w ciemny las. Na lewo od ścieżki usłyszał szelest. Skręcił w gąszcz. Mrużąc oczy, usiłował odróżnić w półmroku kształty. W oddali mignęło mu coś białego.

Parę sekund później znów dojrzał poruszającą się białą plamę. Okazało się, że to jelen w irginijski z charakterystyczną bielą pod ogonem.

Przeklinając w duchu, Dan przystanął. Próbował zebrać myśli. Może miał przywidzenia? Ale przypomniał sobie kapelusz: sam by mu zleciał z głowy? Kiedy zobaczył w trawie brązowe rondo, zeskoczył na ziemię.

Na widok dziury w stetsonie wstąpiła w niego furia. Kula przeleciała dosłownie kilka centymetrów nad jego czołem. Nie do wiary! Ta piękna kobieta o śniadej cerze i gołych nogach oddała do niego strzał!

Roztrzęsiony wrócił na ranczo.

Z jakiegoś powodu wuj urządził siedzibę Armstrong Hydro, oddział Armstrong Holdings, w ogromnym domu zbudowanym sto pięćdziesiąt lat temu przez bogatego ranczera. Sam dom był imponujący, dwupiętrowy, o wspaniałych rzeźbionych poręczach i witrażowych oknach, ale nie nadawał się na biuro. Dlaczego Cecil wolał to miejsce położone w połowie drogi między stolicą stanu Pierre a granicą z Iową zamiast biura w Sioux Falls? Tego Dan nie potrafił pojąć.

Armstrong Holdings założyli czterdzieści lat temu dwaj bracia, Cecil i Lewis. Od śmierci ojca Dan był współwłaścicielem domu, rancza, firmy i doliny, w której podziurawiono mu kapelusz; miał też połowę praw wodnych na rzece Dakota, o które plemię Lakotów walczyło z Cecilem. Odkąd skończył dwadzieścia jeden lat, kierował mieszczącym się w Teksasie Armstrong Petroleum. Nie zamierzał pozwolić, by wuj zniszczył firmę.

W zeszłym tygodniu Cecil polecił mu, by natychmiast przybył do Dakoty Południowej. Od pięciu lat usiłował zbudować zapórę; zagroził, że jeśli Dan nie przyjedzie, firma straci miliardy dolarów, przepadną też wszystkie rządowe kontrakty, jakie mieli podpisane.

Dan nie chciał, by uważano, że jest na każde zawołanie wuja, uznał jednak, że może na miejscu zdoła odkryć, skąd się biorą nieścisłości w raportach finansowych.

- Wszystko w porządku, *señor* Armstrong? - spytała z meksykańskim akcentem gospoia.

Odwrócił się. Kiedy po przyjeździe zorientował się, że Cecil traktuje biedaczkę gorzej niż psa, starał się być dla niej wyjątkowo miły.

- Powiedz mi, Mario - ściszył głos - czy macie tu jakieś problemy?

Kobieta zaczerwieniła się i spuściła oczy. Pewnie trzydzieści lat temu niejednemu mężczyźnie zawróciła w głowie.

- Problemy, *señor*?

- Z tubylcami.

- Z tubylcami?

- Indianami - sprecyzował, wskazując na podziurawiony kapelusz.

- *Dios mi!* Nie, takich problemów nie mamy.

Wiedział, kiedy ludzie, szczególnie kobiety, kłamią.

Maria mówiła prawdę.

- Dasz mi znać, gdybyś o czymś słyszała?

- *Si, señor* - obiecała, cofając się do kuchni.

Usatysfakcjonowany skierował się do gabinetu wuja.

Kiedyś był to zapewne pokój jadalny, ale teraz znajdowało się w nim wszystko potrzebne szefowi dużej firmy. Cecil był cwany i bezwzględny biznesmenem. W Teksasie kupował za bezcen ziemię bogatą w złoża naftowe, później z ropy przerzucił się na zapory i hydroelektrownie. Przeniósł się do Dakoty Południowej. Prawa wodne były tu tanie, a możliwości ogromne. W krótkim czasie Armstrong Hydro wykosiło konkurencję.

Dan nie przepadał za wujem, ale rodzina to rodzina; poza więzami krwi łączył ich wspólny interes. Dan wiedział, że bez dowodów świadczących o sprzeniewierzeniu pieniędzy nie usunie wuja z firmy.

- I co? - spytał starszy mężczyzna, nie podnosząc wzroku znad raportu, który czytał.

Miał identyczną fryzurę i wąsy jak w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. W ciągu ostatnich pięciu lat przybył mu jedynie podbródek. I z tym podbródkiem wyglądał jak uosobienie zła. Zawsze był skrzywiony, zawsze groźnie marszczył czoło. Tylko raz Dan widział go uśmiechniętego: na zdjęciu, kiedy wraz z Lewisem stał przy ich pierwszej wieży wiertniczej.

Zaciskając zęby, Dan rzucił kapelusz na biurko.

- Ktoś do mnie strzelał.

Przez chwilę Cecil wpatrywał się w dziurę po kuli. Nie wydawał się zdziwiony ani przejęty.

- Dorwałeś tego drania?

- Uciekła mi.

- Uciekła? Dziewczyna? Jesteś pewien?

Danowi stanął przed oczami widok smagłych ud, długich powiewających na wietrze włosów i lśniących białych zębów. To nie była dziewczyna. To była bogini.

- Tak.

- Jeśli to ta, o której myślę, to ciągle daje nam się we znaki.

Dan słyszał o kłopotach na terenie budowy, ale wyłącznie z trzeciej ręki, od inżyniera, którego Cecil zwolnił. Wuj uważał, że o ataku ekoterrorystów nie warto informować zarządu. Ciekawe, co jeszcze ukrywał?

Z ekoterrorystami Dan miał już do czynienia: zniszczyli kilka wież wiertniczych, zanim udało mu się wynegocjować z nimi ugodę. Działali głównie w nocy, atakowali sprzęt, nie ludzi. Potrafił sobie z nimi radzić, nie miał natomiast pojęcia, jak poradzić sobie z piękną uzbrojoną księżniczką indiańską.

Cecil odrzucił kapelusz i podniósł z biurka plik papierów.

- Mam dla ciebie zadanie.

Dan ugryzł się w język. Wuj usiłował traktować go jak pomagiera, a nie współnika. Dawało mu to poczucie, że jest jedynym właścicielem firmy.

- Spotkasz się z Indianami. Lepiej się... - przez moment szukał słowa - dogadujesz ode mnie.

Lepiej? Cecil z nikim się nie dogadywał. Kłócił się lub wydawał polecenia.

- Znów wystąpili do sądu. Chcą wstrzymania budowy. Głupcy! Prawa wodne należą do mnie.

- Do nas - poprawił Dan. - Nie masz prawników? Do czego ja ci jestem potrzebny?

- Ich przedstawicielka, niejaka Rosebud Donnelly, rozgromiła trzech naszych fachowców. - Cecil pokręcił zde gustowany głową.

No proszę, pomyślał z uznaniem Dan. Mało kto potrafił pokonać Cecila Armstronga.

- A ja...?

- A ty, synu, jesteś przystojny i znasz się na kobietach. Nawet do służącej odnosisz się, jakby była królową.

Dan policzył w myślach do pięciu. Synu? Nienawidził, kiedy wuj tak do niego mówił.

- Skoro poradziłeś sobie z ekoterrorystami w Teksasie, poradzisz sobie również z tą babą.

- Na co liczysz? Że ją uwiodę, a wtedy ona wycofa papiery z sądu?

- Że ją oczarujesz swym wdziękiem. I może przy okazji zdołasz zajrzeć do jej dokumentów...

Dan wyrwał wujowi kartki z ręki. Miałby podrywać wroga? Robić za męską prostytutkę? Niesamowite!

- Gdzie jest to spotkanie?

- Na terenie rezerwatu. Jutro o dziesiątej. - Cecil wykonał gest, jakby odprawiał służącego.

Dan nie odezwał się. Zerknął na kartki, które trzymał w ręce. Była na nich mapka z drogą dojazdu oraz kilka nazwisk. Hm, jeśli Cecil ma „problemy” z Indianami, może oni mają na niego haka. Coś, co on, Dan, mógłby wykorzystać. Poza tym, jeśli chciał odna-

leżć swoją księżniczkę, powinien rozpocząć poszukiwania od rezerwatu. Najlepiej od rozmowy z Rosebud Donnelly.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rosebud Donnelly popatrzyła na drzwi, w których ze skonfundowaną miną stała recepcjonistka Judy.

- Przyszedł.

- Johnson? Znów? - Rosebud uśmiechnęła się na myśl o tej żalosznej kreaturze. Że też taki zostaje prawnikiem!

- Nie.

- Chyba nie Armstrong? - zdziwiła się Rosebud.

Nie wyobrażała sobie, aby Cecil Armstrong pokazał się w biały dzień na terenie rezerwatu czy gdziekolwiek indziej. Jawił się jej jako wampir, który zamiast krwią żywi się ludzkim nieszczęściem.

- Facet nazywa się Dan Armstrong. Mówi, że jest bratankiem Cecila.

Rosebud skinęła z satysfakcją głową. Najwyraźniej Cecilowi wyczerpał się zapas drogich prawników, którzy nie mieli zielonego pojęcia o prawie plemiennym, i postanowił szukać pomocy u członków rodziny.

- Czyli młodsza kopia starego drania?

- Nie bardzo - odparła szeptem Judy. - Gość robi wrażenie. Miej się na baczności.

- Zawsze mam się na baczności - odparła Rosebud. Nigdy nie ryzykowała, nie stać jej było na porażkę. - Wprowadź go do sali konferencyjnej. Daj mu dużo kawy. I zawiadom mnie, jak przyjadą Joe z Emily.

Kiedy Judy zamknęła drzwi, Rosebud wyjęła kosmetyczkę. Atrakcyjny wygląd to narzędzie, którym lubiła się posługiwać podczas pierwszego spotkania z nowym przeciwnikiem.

Od trzech lat reprezentowała Lakotów w ich walce z Armstrong Holdings. W tym czasie doprowadziła do perfekcji swą strategię. Johnson był jej ostatnią ofiarą. Przez trzy tygodnie udawała łatwowierną idiotkę. Johnson nabrał przekonania, że jest górą, a ona

zdobyła obciążające go zdjęcia z dostawcą sprzedawanych na receptę leków przeciwbólowych. Wyszedł z więzienia za kaucją, ale Armstrong zrezygnował z jego usług.

Faceci! Zwłaszcza biali. Wydaje im się, że prawo ich nie dotyczy. Zaplotła włosy i upięła warkocz na czubku głowy. W takim uczesaniu wyglądała niewinnie, a zarazem srogo. Żeby kok się nie rozpadł, wetknęła we włosy dwie szpile przypominające chińskie pałeczki, tyle że zakończone zielonymi koralikami. Były jedyną pamiątką, jaką zostawiła sobie po matce.

Pomalowawszy usta, przysunęła do siebie dokumenty. Nie łudziła się, że Dan Armstrong okaże się inny od prawników, z którymi miała do czynienia, bądź co bądź przysłała go ten łobuz Cecil, ale istniała szansa, że może wymknie mu się coś na temat jej brata Tannera.

Rozległo się pukanie do drzwi. Rosebud spojrzała na zegarek. Minęło pół godziny. Idealnie.

- Przyszli - rzekła Judy.

- Jak wyglądam? - Rosebud zatrzepotała rzęsami.

- Bądź ostrożna.

Ciekawa była mężczyzny, który wywarł na Judy takie wrażenie. Ale najpierw wysła przywitać się z Joem Whitem Thunderem i Emily Mankiller.

- Wiecie, że Cecil przysłał kogoś nowego?

Oczy Joego załśniły groźnie. W tym momencie przypominał siebie z dawnych lat, buntownika i wojownika. Dziś był członkiem starszyny plemiennej, z którego zdaniem wszyscy się liczyli.

- Wiedziałem, że ten ostatni nie dorasta ci do pięt.

Ciotka Emily pokręciła z dezaprobatą głową.

- Uważaj, kochanie. Pewność siebie bywa zgubna.

To prawda, przyznała w duchu Rosebud, ale na razie świetnie sobie radziła z ludźmi Cecila.

- Pamiętajcie, co macie robić? - spytała.

Joe poklepał ją po ramieniu.

- *How, kemo sabe* - rzekł, po czym przybrał kamienny wyraz twarzy.

Stanowił uosobienie indiańskiego wodza. Miał za zadanie onieśmielać przeciwnika milczeniem i stoickim spokojem. Ani razu nie spojrzy na Dana Armstronga. Tego ci ważni prawnicy nienawidzili najbardziej: bycia ignorowanym. Wtedy się dekoncentrowali, a prawnik zdekoncentrowany to prawnik pokonany.

Ciotka Emily westchnęła. Nie cierpiała tych spotkań, tej farsy i Joego w roli stereotypowego Indianina. Ale gotowa była wszystko znosić, byleby firma Armstronga nie załapała rezerwatu.

- No to ruszamy - rzekła Rosebud, otwierając drzwi.

Poczuła przypływ adrenaliny. Kolejny przeciwnik to kolejna potyczka. Potyczki wygrywała. Czy wygra wojnę, tego nie wiedziała, ale mogła przeciągać sprawę latami.

Dan Armstrong stał zwrócony tyłem do drzwi, twarzą do okna. Szkoda. Wołała, gdy ofiara siedzi na chybottliwym krześle. Po chwili jej irytacja ustąpiła miejsca zaciekawieniu. Co jak co, ale Dan Armstrong w niczym nie przypomina Johnsona. Wysoki, barczysty, o lekko falujących ciemnoblonde włosach... Prawdę mówiąc, nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała w tym budynku, lub poza nim, prawdziwego faceta, takiego z krwi i kości.

Nagle gość się obrócił.

To on! Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Psiakość, jeszcze moment temu była taka pewna siebie, a teraz czuła się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

Musiał zauważyć zmieszanie na jej twarzy, bo uśmiechnął się znacząco - jak facet, który wie, jakie wrażenie wywołuje na kobietach. To ją otrzeźwiło. Fakt, iż go rozpoznała, nie świadczy o tym, że on wie, z kim ma do czynienia.

- Pan... Armstrong? - spytała tak, jakby szkoda jej było czasu na zapamiętywanie jego nazwiska. Chociaż miała na sobie buty na dziesięciocentymetrowych obcasach, przewyższał ją prawie o głowę. - Rosebud Donnelly, reprezentuję plemię Indian Lakota.

- Miło mi panią poznać - odrzekł Dan.

Odruchowo podniósł rękę do ronda kapelusza, po czym zorientowawszy się, że nie włożył stetsona, wyciągnął ją w stronę Rosebud. Ciekawa była, czy wrócił po kapelusz, czy zostawił go na ścieżce. Sprawdzi dziś wieczorem. Bez dowodów nie ma przestępstwa.

Żaden z ostatnich trzech prawników nawet nie raczył się z nią przywitać. Zawahała się. Lekki uścisk dłoni byłby oznaką słabego charakteru, a zawsze na początku lubiała udawać słabą... Zawsze, lecz nie tym razem. Podała rękę. Uścisk miała silny, niemal miażdżący.

Wysłannik Cecila przyjrzał się jej uważnie. Zastanawiała się, co mu wuj powiedział: pewnie że jest zimną, nienawidzącą mężczyzn suką. Przez moment korciło ją, aby zaprotestować, że to nieprawda.

Bez sensu. Nic dziwnego, że Judy kazała jej mieć się na baczności.

- To jest Joseph White Thunder, członek starszyny plemiennej, oraz członek rady plemiennej, Emily Mankiller.

- Panie Armstrong, czy zna pan szczegóły traktatu podpisanego w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku przez rząd Stanów Zjednoczonych oraz plemiona Lakotów, Dakotów i Siuksów z Dakoty Południowej? - zapytała Emily.

- Obawiam się, że nie. - Usiadłszy na chybotliwym krześle, Dan przytrzymał się stołu, by nie upaść.

Emily, jedna z niewielu wykształconych kobiet na terenie rezerwatu, miała dyplom z historii Stanów Zjednoczonych. W trakcie spotkań z wysłannikami Cecila opowiadała im o krzywdach wyrządzonych Lakotom przez rząd amerykański. Jej monolog trwał około czterdziestu minut; chodziło o to, by zmęczyć przeciwnika.

Nie tracąc czasu, rozpoczęła wykład. Joe wpatrywał się nieruchomo w ścianę, a Rosebud przeglądała notatki. Niestety wciąż miała mało informacji o Cecilu. Wiedziała, że popiera obie partie polityczne, utrzymuje kontakty z powszechnie szanowaną rozwódką, którą dwa razy w miesiącu odwiedza w Sioux Falls, i nie zatrudnia sekretarki. Ponadto nigdy nie był w biurze Armstrong Hydro w Sioux Falls, a tamtejszy personel niewiele mógł o nim powiedzieć. To wszystko, co udało jej się zdobyć w ciągu trzech lat.

Zerknęła na Dana. Nie tylko słuchał z zainteresowaniem wywodu Emily, ale i robił notatki. Co, do diabła? W pewnym momencie przerwał jej i spytał o dokładną datę. Może jednak nie jest prawnikiem? W takim razie po co by Cecil go tu przysłał?

- Panie Armstrong - zaczęła, kiedy Emily zakończyła wykład, a Dan odłożył notes
- czy zdaje pan sobie sprawę, że Armstrong Holdings zamierza zbudować zaporę na rzece Dakota?

- Tak, proszę pani. - Usiłował odchylić się na krześle, groziło to jednak upadkiem.
- W dolinie, jakieś trzy kilometry stąd w linii prostej. Nabyliśmy prawa wodne i mamy pozwolenia. Budowa rozpocznie się jesienią.

- A czy zdaje pan sobie sprawę, że jezioro retencyjne, które powstanie, to półtora tysiąca hektarów rezerwatu zalanych wodą?

Dan zmarszczył zdziwiony czoło.

- Mówiono mi o znacznie większej powierzchni, ale podobno to tereny niezamieszkałe.

Rosebud zmrużyła oczy. Na co Cecil liczył, przysyłając bratanka? Przypomniała sobie, jak ów bratanek wyglądał na koniu. Powinna była strzelić w powietrze, z ukrycia, tak jak planowała, zamiast podjeżdżać bliżej. Kiedy się odwrócił, zaskoczona niemal odstrzeliła mu głowę.

Okej, teraz ma się skupić na pracy, a nie bujać w obłokach. Była prawniczką. W sądzie nie ma podziału na kobiety i mężczyzn. Liczy się wyłącznie prawo.

- W takim razie nie mamy o czym rozmawiać - oznajmiła, zgarniając papiery.

Emily z Joem wstali; byli gotowi do wyjścia.

- Nie, proszę... - Dan również wstał. - Niech mnie pani oświeci.

Oświeci? Mało mu było lekcji historii? Nagle przyszło Rosebud do głowy, że Dan Armstrong może okazać się groźnym przeciwnikiem. Nie był marionetką, jak jej dotychczasowi oponenti. Ogarnęła ją złość.

- W porządku. Odkąd przybył tu pięć lat temu, Cecil Armstrong wszystkich rozstawia po kątach. Zmusił miejscowych ranczerów, z którymi mieliśmy niepisane umowy, żeby sprzedali mu ziemię i prawa wodne. Co rusz składa idiotyczne pozwy przeciwko Lakotom. Powołuje się na prawo do użytkowania cudzych gruntów w wyższych celach służących dobru ogółu. Kogo obchodzi los kilkuset Indian? Tylko ich samych.

Dan Armstrong usiadł i znów zaczął notować. Jeżeli udawał, że jest przejęty tym, co słyszy, to był świetnym aktorem. A może był nową twarzą Armstrong Holdings? Może dlatego Cecil go przysłał?

Rosebud kontynuowała opowieść o tym, jak Cecil zastrasza członków plemienia. Wprawdzie nie złapała go za rękę, ale ktoś inny strzelałby do okien Emily lub dziurawił koła w aucie Joego? Kto zostawiłby u niej na ganku obdartego ze skóry szopa? Tylko Cecil Armstrong, który nienawidzi jej z całego serca.

- To poważne oskarżenia - oznajmił Dan.

- Zabito również dwie osoby... - Głos uwiązał Rosebud w gardle.

Emily położyła rękę na jej ramieniu. Psiakość! Nie powinna tracić opanowania.

- Ma pani jakieś dowody?

Proste pytanie. Odpowiedź była bardziej złożona.

- FBI uznało, że obie popełniły samobójstwo. Policja plemienna była innego zdania. Oczywiście nic z tego dalej nie wynikło. Cecil Armstrong miał pieniądze, a kto ma pieniądze, ten ma rację. Indianie wiadomo: upijają się, tłuką i zabijają. Jeden więcej Indianin, jeden mniej, co za różnica? A że jej brat, Tanner, nigdy nie pił alkoholu? Kogo to interesuje? Był po prostu Indiańcem.

Dan popatrzył na Rosebud.

- Bardzo pani współczuję - rzekł. I zabrzmiało to szczerze. - Postaram się czegoś dowiedzieć. - Na moment zamilkł. - Chciałbym zapoznać się z pani dokumentacją.

- Rozumie pan chyba, że oryginały nie mogą opuścić tego budynku? - Tylko tego brakowało, by Cecil rozpałił przed domem wielkie ognisko.

- Oczywiście. Wystarczą mi kserokopie.

No tak. Dan Armstrong obraca się w świecie, w którym sprzęt działa, na biurkach stoją komputery z internetem, a krzesła nie grożą zawaleniem. W świecie, który różni się od jej świata. Uniosła dumnie głowę.

- Pański poprzednik, pan Johnson, miał kopie wszystkiego. - A przynajmniej tak mu się wydawało.

- Niestety jakiś tydzień temu znikły z jego samochodu. Wraz z laptopem, iPodem oraz trzema batonikami.

Podjeżdżała, że to sprawka Matta, który chciał się wzorować na Tannerze, lecz był zwykłym rzezimieszkiem. Och, ile by dała, by zajrzeć do komputera Johnsona, ale Matt pewnie już go sprzedał. Szlag by to trafił. Oczywiście przybrała stosownie zdziwioną minę, ale sądząc po uśmiechu Dana, chyba go nie przekonała.

- No to pech. Bo widzi pan, kilka dni temu zepsuła się nam kopiarka. Czekamy na części... - Nieznacznie pokrywało się to z prawdą. Kopiarka naprawdę się zepsuła, tyle że dwa lata temu.

Dan skinął głową.

- Zostaje jedno wyjście. Mam nadzieję, że zgodzą się państwo, abym tu na miejscu przejrzał dokumenty?

- Oczywiście. - Rosebud zerknęła na Emily. - Ale pod jednym warunkiem.

Dan wyprostował się na krześle. Coraz lepiej sobie radził z tym chybotliwym meblem.

- Będę miał nadzór?

Wiedział, że tylko Rosebud zna zawartość wszystkich teczek, a zatem tylko ona może dopilnować, aby nic z nich nie zginęło. To oznacza, że przez wiele godzin, może dni będzie musiała siedzieć w małej salce z przystojnym czarującym mężczyzną, patrząc, jak studiuje dokumenty i robi notatki.

Emily Mankiller ponownie zabrała głos. Rosebud nie słuchała wykładu, zamiast tego wpatrywała się w ręce Dana. Odciski świadczyły o tym, że nieobca mu była praca fizyczna. Hm. Przeniosła spojrzenie na klamrę u pasa. Nie wyglądała na taką, jaką kupuje się w sklepie. Koszulę chyba też miał szytą na zamówienie. A buty z krokodylej skóry... musiały kosztować więcej niż jej zeszłoroczny przychód. Uświadomiła sobie, że Dan nie jest niczym chłopcem na posyłki. Tym razem trafiła na godnego siebie przeciwnika.

Akurat gdy Emily zbliżała się do końca, Dan zaczął się wiercić. Duże ilości wypitej kawy nareszcie poskutkowały. Kiedy indziej Rosebud przetrzymałaby faceta, niech się pomęczy, ale dziś chciała jak najszybciej się go pozbyć i obmyślić plan działania.

Joe dalej udawał, że nie widzi Dana. Emily uściśnęła dłoń gościa, Rosebud również.

- Do zobaczenia - powiedział, a ją przeszył dreszcz.
Cholera! Nie mogła się doczekać następnego spotkania.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zostawiła teczki w gabinecie, drzwi zamknęła na klucz, po czym wyszła na dwór. Stojąc na parkingu, czuła na twarzy promienie słońca i lekki powiew wiatru. Ten powiew sprawił, że znów zaczęła logicznie myśleć.

Może Dan Armstrong jest groźnym przeciwnikiem, ale to mężczyzna. Jako kobieta, która ukończyła prawo, powinna jedynie pamiętać, kogo on reprezentuje, a nie jak wygląda. Wtedy wszystko będzie dobrze.

- W porządku, Rosie? - spytał Joe.

- Oczywiście. - Wyznawała zasadę, że nie należy głośno przyznawać się do słabości, chyba że to czemuś służy. Nagle spostrzegła minę Emily. - O co chodzi?

- Ten mężczyzna... - Emily westchnęła.

- Dam sobie radę.

Przez moment starsza kobieta badała ją wzrokiem, po czym jednym ruchem wyciągnęła szpile z koka.

- Jest bardzo przystojny, a ty bardzo piękna.

- No i?

- Przyjaciół trzymaj blisko - rzekł z powagą Joe - wrogów jeszcze bliżej.

- O co wam chodzi? Żebym się z nim przespała? - Rosebud wytrzeszczyła oczy. Joe zacisnął mocniej rękę, Emily milczała. - Naprawdę chcecie, żebym go uwiodła?

Za dużo od niej wymagano. Najpierw żeby z dala od domu studiowała prawo, podczas gdy ją kusiła historia sztuki. Żeby latami walczyła z Armstrong Holdings. Żeby uprzętała z ganku martwe zwierzęta. Żeby pogodziła się ze śmiercią brata. A teraz... żeby sypiała z wrogiem? Owszem, wróg jest seksowny, ale...

- No nie, skądże! - zaprotestował słabo Joe. - Jednak piękna kobieta może namieszać mężczyźnie w głowie.

- Może właśnie nadarza się okazja, na którą czekaliśmy - wtrąciła Emily. - Może młodemu Armstrongowi niechcący wymknie się coś na temat Cecila. Może wie coś o śmierci Tannera...

To był cios poniżej pasa. Sypanie soli na ranę. Rosebud ogarnęła wściekłość, po chwili jednak uspokoiła się. Joe z Emily mają rację. Okazję należy wykorzystać. Może Dan Armstrong z czymś się zdradzi. Może uda się odkryć, co naprawdę stało się Tannerowi. Może ona znajdzie sposób, by powstrzymać budowę zapory. Może...

- Tanner by tak postąpił - rzekła Emily. Zdjęła Rosebud z nosa okulary i włożyła je do kieszeni na piersi. - Zrób to dla niego.

Rosebud z trudem powściągnęła łzy. Zwykle pozwalała sobie na nie w środku nocy, kiedy nikt jej nie widział.

- Dobrze - wykrztusiła.

Emily pocałowała ją w policzek, jakby dawała swoje błogosławieństwo.

- Dowiedz się, co możesz. Sama trzymaj język za zębami.

- Postaraj się - dodał Joe, zabierając rękę.

Postaraj... Starła się już trzy lata. Robiła, co mogła, lecz wciąż za mało. Wciąż bez skutku.

Zacisnęła powieki. Słyszała, jak drzwi się zatraskują i samochód odjeżdża. Wiatr targał jej włosy, z warkocza niewiele już zostało. Przez moment stała bez ruchu, na środku parkingu. Po śmierci brata przyrzekła sobie, że uczyni wszystko, aby się dowiedzieć, kto włożył mu broń do ręki i pociągnął za spust. Nie sądziła, że w tym celu będzie musiała uwieść bratanka Cecila Armstronga.

- Panna Donnelly?

- Tak. - Nie obracając się, wiedziała, że to on. - Dziękuję, że zechciał pan dziś przyjechać.

Czuła jego obecność, bijące od niego ciepło. Miała wrażenie, że stykają się ramionami. Uniosła powieki. W tym samym momencie zerwał się podmuch wiatru, wichrząc jej włosy. Spojrzenie Dana Armstronga zmieniło się. Rozpoznał ją. I wstąpiła w niego wściekłość.

- Czy jeździ pani konno? - spytał przez zęby.

- Oczywiście - odparła tonem niewiniątka. - W tych stronach wszyscy jeżdżą konno. Pan nie?

Zmrużył oczy.

- Ja też. Jakiego ma pani konia?

- Pinto. A pan? - Najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- Palomino. - Podeszedł do dużej czarnej terenówki - Wczoraj wybrałem się na przejażdżkę niedaleko miejsca, gdzie ma powstać zapor.

- Tak?

Otworzywszy drzwi, sięgnął do środka po brązowy kapelusz. Z dziurą tuż nad rondem.

To się mogło źle skończyć. A przecież wcale nie zamierzała go trafić. Celowała nad jego głową, tak by słyszał świst kuli. Cholera, omal nie zabiła człowieka. Na samą myśl zrobiło jej się słabo. Na szczęście nie zemdlą. Utrata przytomności byłaby jak przyznanie się do winy.

Dan przyglądał się jej z chłodnym zainteresowaniem.

- W dolinie ktoś oddał do mnie strzał.

Przełknęła ślinę. Miała nadzieję, że Dan dojrzy na jej twarzy wyraz szoku, a nie wyrzutów sumienia.

- To straszne! Widział pan, kto strzelał?

Postąpił krok w jej stronę. Źrenice mu się rozszerzyły, zieleń tęczęwki niemal całkiem znikła.

- Kobieta na pinto - oznajmił cicho. - Piękna Indianka o długich czarnych włosach.

- Wolną ręką ujął pasmo jej włosów i owinął wokół nadgarstka. - Ubrana w skórę i mokasyny.

Powiedział: piękna. Rosebud ponownie przełknęła ślinę. Jej rozmówca pachniał kawą i koniem. Czymś jeszcze... może drzewem sandałowym? W każdym razie przyjemnie. Lecz z jego oczu wyzierała złość.

- W skórę, panie Armstrong? - spytała, jakby z lekkim niedowierzaniem. - W obecnych czasach większość z nas nosi T-shirty i dżinsy. Ale... - kontynuowała - mogę

popytać. Nie pochwalamy czynów pana wuja, na pewno jednak nie próbowalibyśmy nikogo pozbawić życia.

- Świetnie, niech pani popyta. - Wykrzywiając usta w ironicznym uśmiechu, zrobił kolejny krok w jej stronę. - Chętnie się dowiem, kto za tym stoi.

Przyjaciół trzymaj blisko, wrogów jeszcze bliżej. Przygryzła wargę. Dan Armstrong utkwiał spojrzenie w jej ustach. Wiedziała, że igra z ogniem...

- Zamierza mnie pan pocałować? - zapytała.

Wierzchem dłoni odgarnął włosy z jej twarzy i lekko pogładził policzek. Przeszył ją dreszcz. Nie uszło to uwadze Dana, który uśmiechnął się pod nosem.

Tak, chciał ją pocałować. Powinna być usatysfakcjonowana. Ciotka Emily byłaby z niej dumna.

- A pani zamierza znów do mnie strzelić?

- Nie wiem, o czym pan mówi!

Wciąż trzymał w garści jej włosy.

- Sądziłem, że prawnicy lepiej kłamią.

- A ja sądziłam, że kłamcy są lepszymi prawnikami.

Czekała w napięciu. Uderzy ją czy pocałuje?

Pocałuj mnie, usłyszała wewnętrzny głos, który wyrażał jej skryte pragnienie. Głos, który nie miał nic wspólnego z życzeniem Emily ani jakimikolwiek prawniczymi gierkami. Już nawet nie pamiętała, kiedy całowała się z mężczyzną, w dodatku tak przystojnym i pachnącym tak zmysłowo. To, że należy on do wrogiego obozu i że omal go nie postrzeliła, nie miało w tym momencie znaczenia. Liczyło się to, że stoi blisko, że ich twarze dzieli zaledwie kilka centymetrów.

Pocałuj mnie! Nie posłuchał. Potrząsnawszy głową, cofnął się. Poczwała ulgę, a zarazem irracjonalną złość z powodu odtrącenia.

Obserwował ją uważnie, każdy jej ruch, każdy grymas. Wzięła głęboki oddech. Da radę.

- Nie lubię być celem - oznajmił w końcu.

- A kto lubi? - Odrzuciła za siebie włosy. Nie odrywał od niej wzroku. Dlaczego jej nie pocałował? - Jeśli się czegoś dowiem, natychmiast pana poinformuję.

Wyciągnął z kieszeni portfel, a z niego wizytówkę.

- Będę zobowiązany - rzekł z sarkazmem. - Chętnie złożę doniesienie na policji.

Aha, adres jest nieaktualny, ale numer komórki się nie zmienił.

Rosebud zerknęła na kartonik: Armstrong Holdings, wyczytała. A niżej: Wichita Falls, Teksas. Oraz: Daniel Armstrong, dyrektor generalny. Psiakość. Czyli nie był chłopcem na posyłki, lecz człowiekiem, który zarządza firmą. Czy również tutejszą filią, Armstrong Hydro?

- Rozumiem. - Rosebud wsunęła wizytówkę do kieszeni obok okularów. Policją nieszczególnie się przejmowała. - Gdzie się pan zatrzymał?

Spojrzenie mężczyzny stało się mniej wrogie. Na twarz powrócił arogancki uśmiech.

- U wuja. - Dan oparł się o samochód. - Powinna pani wpaść do nas na kolację.

- Słucham? - Wszystkiego się spodziewała, ale nie zaproszenia do jaskini lwa.

Dan wzruszył ramionami.

- Wiem, że pani nie przepada za wujem, ale on nie jest taki zły.

Cecil Armstrong nie jest taki zły? Chyba nawet jego bratanek w to nie wierzy. Rosebud zdołała nie parsknąć śmiechem. Tak, chętnie skorzysta z zaproszenia na ranczo wroga. Kto wie, może zdoła wygrzebać jakieś brudy?

Pogratulowała sobie w duchu. Dan Armstrong chwycił przynętę. Ciotka Emily będzie zadowolona.

Mężczyzna uniósł brwi. Psiakość, a może to on w coś gra? Nieważne. Zamierzała go pokonać.

- Zabawia się pan w rozjemcę, panie Armstrong? - spytała, udając, że rozważa jego propozycję.

Uśmiechnął się.

- Pan Armstrong to mój wuj. A ja jestem Dan. Proszę mówić mi po imieniu, panno Donnelly.

Odwzajemniła uśmiech. Może zabawa w uwodzenie będzie całkiem przyjemna? Niewinny flirt, pocałunki... Przecież nie musi iść z facetem do łóżka.

- Rosebud - powiedziała i zatrzepotawszy rzęsami, lekko się zaczerwieniła.

- Rosebud - powtórzył. - A zatem w sobotę? Około siódmej wieczorem?

Za dwa dni? W tak krótkim czasie niczego nie zdoła się o nim dowiedzieć. Będzie musiała wejść do jaskini lwa uzbrojona jedynie w swój wdzięk i inteligencję. Ale niekiedy niczego więcej nie potrzeba.

- Niech będzie. Sobota o siódmej.

Dan błysnął zębami. A ona pomyślała: ostrożnie, Rosie. Żeby ci tylko nie zawrócił w głowie.

- Czy mogę po ciebie przyjechać?

Co za rycerskość! Ale nie, za nic w świecie tego nie chciała. Mieszkańcy rezerwatu mogliby to źle odczytać. Na razie miała dość problemów.

- Dziękuję, trafię sama.

Skinął głową. Mimo że dzieliły ich ze dwa metry, czuła bijący od niego żar. Jeden pocałunek, pomyślała. Jeden malutki pocałunek. Czy za wiele żąda?

- W porządku. Do zobaczenia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Siedział w samochodzie, walcząc z pokusą, aby pobiec do stajni, osiodłać Smokeya i pogalopować. Tak, zabrał z Teksasu swojego pięknego palomino. Po ciężkim dniu w biurze przejażdżka konno zawsze poprawiała mu humor. A u Cecila spodziewał się samych ciężkich dni. W Teksasie zwykle objeżdżał pola naftowe, sprawdzał wieże wiertnicze. Obsługiwali je dobrze opłacani pracownicy, ale on też lubił czasem popracować fizycznie, zmęczyć się. Po powrocie do domu problemy, które go wcześniej dręczyły, albo znikwały, albo okazywały się nieważne.

Teraz również dręczyło go kilka spraw. Chętnie, na przykład, poznałby tożsamość osoby, która do niego strzelała. Był pewien, że gdyby spędził w dolinie parę dni, jego indiańska księżniczka wróciłaby na miejsce zbrodni. Wolałby znów narazić się na strzały, niż wejść do domu i spotkać się z wujem. Cecil oczekiwał sprawozdania, a on nie bardzo wiedział, co mu powiedzieć.

Rosebud bardzo przypominała kobietę na koniu. Podejrzewał, że nie zawahałaby się przed oddaniem strzału. To z jej powodu Cecil wezwał go do siebie. Zwykli prawnicy nie potrafili sobie z nią poradzić, a on miał ją „oczarować”. Oczarować, czyli uwieść i skompromitować.

Tyle że nie był pacholkiem Cecila.

W oczach Rosebud oprócz chłodu, pogardy i gniewu dostrzegł smutek. I coś mu mówiło, że jeśli ona strzelała, to wcale nie chciała go zabić ani nawet zranić. Oczywiście nie miał pewności, ale przecucie zwykle go nie myliło. Nie bardzo wiedział, co z tym fantem począć. Zacząć rzucać oskarżenia, tak jak ona? Zabito dwie osoby, powiedziała. Cecil jest starym durniem, ale przecież nie mordercą. Po co miałby zabijać?

Każdy ma jakiś powód, mawiała jego matka. Nagle pomyślał sobie, że przydałaby mu się jej intuicja. Wyjął telefon. Obracając nim w ręce, zastanawiał się, czy zadzwonić? Z jednej strony chętnie usłyszałby jej zdanie, z drugiej musiałby jej powiedzieć o stetsonie. Matka by się zdenerwowała, a i tak miała mnóstwo na głowie. Bądź co bądź sama teraz zarządzała Armstrong Petroleum. Nie, postanowił oszczędzić jej zmartwień; lepiej, żeby uwagę poświęcała sprawom służbowym.

Skupiony, próbował odtworzyć w myślach przebieg dzisiejszego spotkania. Przypomnił sobie, jak głos Rosebud zadrżał, a Emily położyła rękę na jej ramieniu niczym matka, która próbuje uspokoić dziecko. Może wśród zabitych, o których mówiła, był ktoś jej bliski? Mąż? Może chce się zemścić?

No dobra, nie ma sensu tracić czasu na bezowocne rozważania. Chwycił leżący na desce rozdzielczej kapelusz. Powinien kupić nowy, i to już. Tam, skąd pochodził, mężczyźni rzadko chodzą z gołą głową.

- I co? - usłyszał, zanim zbliżył się do jadalni.

Pochłonięty myślami nie zauważył siedzącego naprzeciwko Cecila mężczyzny w czarnej skórzanej kurtce, dopóki ten nie wstał. Czyżby kolejny Lakota? Ciekawe, o czym wuj z nim rozmawiał?

- Dan Armstrong - powiedział Dan, wyciągając rękę.

Wierzył, że dużo można się o człowieku dowiedzieć po jego uścisku dłoni.

- Shane Thrasher - przedstawił się obcy.

Silny uścisk po sekundzie stał się słaby, jakby mężczyzna próbował coś ukryć.

Dan z miejsca poczuł do niego niechęć, która wzmogła się, kiedy wuj obdarzył Thrashera ciepłym uśmiechem.

- Przypomnij mi, Thrasher, kim jesteś? - spytał Cecil.

Otworzył zamykaną na kluczyk skrzynkę, której Dan wcześniej nie widział, i wyjął ze środka grubą papierową teczkę. Skrzynka wyglądała na starą. Na pewno nie była częścią wyposażenia gabinetu.

- Pół-Krukiem. - Mężczyzna usiadł z powrotem.

Sprawiał wrażenie, jakby często tu bywał.

Dan wrócił pamięcią do monologu Emily Mankiller. Mówiąc o Custerze i bitwie nad Little Bighorn, kobieta wspomniała o Krukach, którzy opowiedzieli się po stronie białych.

- Faktycznie. Wy, Indiance, ciągle mi się mylicie. - Słyszac słowa wuja, Dan aż się wzdrygnął, ale obcy nie zareagował. - Thrasher pracuje u mnie jako szef ochrony.

Facet bardziej przypominał płatnego zabójcę niż szefa ochrony. Pod kurtką widać było wybrzuszenie, gdzie znajdowała się broń. Dan nie wiedział, czy Rosebud do niego

strzelała czy nie, ale wiedział, że Shane Thrasher jest sto razy groźniejszy od pięknej prawniczki.

- Miło mi.

Thrasher uniósł lewą brew. Najwyraźniej odwzajemniał niechęć Dana. Cecil studiował materiały w teczce.

- Co sądzisz o Donnelly?

- Jeszcze nie wiem. Na pewno trzeba się z nią liczyć.

Thrasher prychnął pogardliwie. Nie zwracając na niego uwagi, Cecil zapisał coś czerwonym długopisem.

- Poradzisz sobie z nią?

Po raz pierwszy w życiu Dan nie potrafił odpowiedzieć na pytanie. W trakcie jednego popołudnia Rosebud wzbudziła jego podziw, wściekłość, pożądanie.

- Zaprosiłem ją na kolację w sobotę. Przyjdzie - dodał, widząc zdziwione spojrzenie wuja.

- Dzielny chłopak. - Cecil uśmiechnął się szeroko. - Co ci mówiłem, Thrasher?

- Miał pan rację - przyznał obcy przymilnym tonem, który kłócił się z grymasem na jego twarzy.

Kusiło Dana, by zmazać mu ten grymas z pyska. Na wszelki wypadek zacisnął ręce na oparciu fotela.

- Dobrze, żeby zobaczyła w tobie nie tylko wroga, ale też człowieka - rzekł, zwracając się do wuja.

Cecil posłał mu pogardliwe spojrzenie, które mówiło: nie bądź mięczakiem. Patrzył tak na bratanka od dnia pogrzebu jego ojca.

- Gównu mnie obchodzi jej zdanie na mój temat. Masz odkryć jej słabe strony. Masz ją złamać. Jasne?

Dan westchnął w duchu. Teksaski oddział Armstrong Holdings widniał na liście dwudziestu najlepszych miejsc pracy w całym stanie, a filia w Dakocie Południowej... lepiej nie mówić! Po cholere tu przyjechał? Nagle zrozumiał. Firmą, którą założył ojciec, nie może zarządzać człowiek pozbawiony skrupułów i zasad moralnych.

- Panna Donnelly oznajmiła, że nie dostanę kopii jej dokumentów, ale udostępni mi je na miejscu.

- Brawo! - ucieszył się Cecil. - Chyba cię, synu, nie doceniłem.

Synu. Znów to słowo. Dan zazgrzytał zębami i łypnął na Thrashera, który miał czelność się roześmiać.

- W sobotę wybieram się na wiec partyjny do Sioux Falls - ciągnął Cecil, zapisując coś na kartce. - Będziecie tylko we dwoje. Oczekuję wyników.

Przynajmniej nie kazał Thrasherowi uwieść Rosebud, pomyślał Dan. Tyle że Thrasher nie miałby szans. Rosebud z pewnością nie zadaje się z palantami.

- Co z nim? - zapytał.

Nie patrzył na szefa ochrony. Bał się, że nie wytrzyma i mu przyłoży.

- Mną się możesz nie przejmować - odparł Thrasher, ruszając do wyjścia. - Wątpię, abyś mnie kiedykolwiek jeszcze zobaczył.

Dan poderwał się na nogi, ale Thrasher znikł za drzwiami.

- Spokojnie. Wszyscy gramy w tej samej drużynie - oznajmił Cecil, zamykając skrzynkę na kluczyk.

W tej samej? Chyba jednak nie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dojechała na ranczo, na szczęście stary taurus nie odmówił posłuszeństwa. Na szczęście również upał zelżał, więc nie była spocona. Była jednak kłębkim nerwów. Pomysł kolacji z Cecilem Armstrongiem i jego bratankiem wydawał jej się czymś niemal surrealistycznym.

Paraliżował ją strach. Gdyby była posiadaczką kolczugi, na pewno włożyłaby ją pod żakiet. Zamiast tego miała na sobie bluzkę z dość dużym dekoltem. Tonący brzytwy się chwyta. Do jasnej cholery, da radę! Jest prawniczką. Występowała przed sądem federalnym. I wygrała. Poradzi sobie z Armstrongami.

Chwyciła z siedzenia teczkę i przybrała surową minę. Zanim doszła do drzwi, te się otworzyły. Jej oczom ukazał się prawdziwy kowboj w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, wysoki, o szerokich ramionach i szczupłej talii. Przez moment miała nadzieję, że odwróci się tyłem, aby mogła obejrzeć go ze wszystkich stron. Nagle spostrzegła wypukłość z boku. Czyżby kabura? Nie, telefon komórkowy. Brakowało jedynie białego konia i zachodzącego na czerwono słońca. Romantyczne zakończenie: on i ona odjeżdżają w nieznane.

Jeden pocałunek. Zdołałaby się przemóc, prawda?

- Co za punktualność - rzekł z uśmiechem Dan.

Może dwa pocałunki. Miała totalny mętlik w głowie.

Dan uściskał jej dłoń. Przez ułamek sekundy myślała, że zamierza podnieść ją do ust.

- Uznałam, że twój wuj to doceni.

Tak jak poprzednim razem, rękę miał ciepłą i suchą. Czyli w przeciwieństwie do niej nie był zdenerwowany.

- Zapewne by docenił. Ale nie ma go w domu, pojechał na jakiś wiec partyjny.

Zalało ją uczucie ulgi, a puls jej przyspieszył. Będą zatem tylko we dwoje? Oczywiście Dana odpowiedziały: tak. Nieco mocniejszy uścisk dłoni jakby to potwierdził.

W porządku: góra trzy pocałunki. Przy czwartym straciłaby nad sobą kontrolę.

- Bez względu na to, którą partię chce przekupić, zrobię wszystko, aby nie został wybrany.

- Doskonale to rozumiem. - Z tonu Dana wynikało, że nie przepada za wujem, ale skoro tak, dlaczego występuje w jego imieniu? Po chwili puścił jej dłoń. - To nie jest kolacja biznesowa - oznajmił, marszcząc czoło.

Zauważył jej strój, ten sam, który miała na sobie dwa dni temu. Uniosła dumnie głowę; nie zamierzała przejmować się głupstwami.

- Chyba nie sądziłeś, że potraktuję dzisiejszą wizytę jak spotkanie przyjaciół?

- No, nie. - Podał jej ramię.

Rosebud poczuła ukłucie w piersi. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz biały mężczyzna patrzył na nią bez pogardy czy niechęci w oczach. Kiedy szli po schodkach na werandę, miała wrażenie, że za moment zatrzasną się za nią wrota piekieł. Nie była słabą kobietką, która potrzebuje się wesprzeć na silnym męskim ramieniu, a jednak różnie się czuła, mając oparcie.

- Byłaś tu? - zapytał, przytrzymując drzwi.

- W samym domu nie. Ale przejeżdżałam obok. - Po chwili jej wzrok przyzwyczał się do półmroku.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że miejsce wcale nie przypomina lochów. Panował tu idealny porządek, nawet widocznego w salonie łba bizona nie pokrywała warstwa kurzu.

Skinąwszy głową, Dan poprowadził ją długim ciemnym holem w stronę kuchni.

- Z tego, co Maria mówi, Cecil korzysta tylko z jadalni i sypialni. Reszta domu jest jak muzeum.

- Kim jest Maria?

- Gospodynią. To ona zrobiła dla nas kolację... A, jesteś, Mario - powiedział Dan na widok niskiej kobiety, która wkładała płaszcz. - Przedstawiam ci Rosebud Donnelly, prawniczkę plemienia Lakotów. Rosebud, to jest Maria Villerreal, która zawiaduje tym miejscem.

- To zaszczyt panią poznać, *señorita*.

- Bardzo mi miło - rzekła Rosebud, coraz bardziej zdumiona.

Piękny i lśniący czystością dom, uprzejma służba? Hm, może myliła się co do Cecila?

- Kolację zostawiłam w piekarniku, *señor*. Potrzebuje pan jeszcze czegoś?

- Nie, Mario. Dziękuję. Pachnie przepysznie. Pozdrów ode mnie Eduarda i chłopców.

- *Si, señor*. - Maria wyciągnęła rękę do Rosebud. - *Señor* Daniel to porządny człowiek, *señorita*.

W przeciwieństwie do kogo? Cecila? Rosebud nie zadała pytania na głos. Najwyraźniej Dan również Marii zawrócił w głowie. Ale to dobrze. Na randce można wiele powiedzieć o mężczyźnie, patrząc, jak odnosi się do kelnera. Tyle że dzisiejszy wieczór nie był randką.

Dan odsunął od wyspy stół barowy.

- Tu będziemy jedli?

- Jadalnia służy Cecilowi za gabinet. - Ułożył na blacie naczynia, sztucce, po czym otworzył piekarnik. Apetyczny zapach kojarzący się z kuchnią meksykańską wypełnił powietrze. - Wierz mi, w kuchni jest znacznie przyjemniej. Mam nadzieję, że lubisz *tamales*?

- Mówisz do wuja „wuju” czy po imieniu?

- Po imieniu.

- Niezbyt go lubisz, prawda?

- Mało kto lubi Cecila. - Wyjął ser do posypania. - Ty też go nie lubisz.

Delikatnie powiedziawszy, pomyślała Rosebud.

- Nie znamy się. Nigdy z nim osobiście nie rozmawiałam. Ale ty... To twój wuj.

- Niestety nic na to nie poradzę - oznajmił, stawiając jedzenie na stole. Mówił lekkim tonem, lecz wyczuwała napięcie w jego głosie. - Zaproponowałbym ci piwo, ale coś mi się zdaje, że byś odmówiła.

Niemal wbrew sobie Rosebud uśmiechnęła się. Po chwili, widząc, jak intensywnie Dan się w nią wpatruje, wystraszyła się. Czyżby rozpoznał w niej Indiankę na koniu?

- Może więc lemoniada?

Uff, odetchnęła z ulgą.

- Poproszę.

Postawił przed nią szklanę.

- Opowiedz mi o swoim imieniu. Zdaje się, że Orson Welles tak nazywał swoje sanki...

- I chcesz wiedzieć, czy mam imię na cześć sanek Wellesa?

Roześmiał się. Przynajmniej ma poczucie humoru, a co ważniejsze, nie traktuje jej z pogardą, jak poprzedni prawnicy Cecila. Nie rozumiała białych. Jedni zachowywali się przy niej tak, jakby mieli wyrzuty sumienia, jakby to ich ojcowie odebrali Indianom ziemię. Inni, głównie miejscowi, uważali Indian za brudasów i obiboków. Dan nie należał do żadnej z tych kategorii.

- Nie, ale...

Odwzajemniła uśmiech.

- Imię mam po dalekiej krewnej, Rosebud Yellow Robe, która w latach czterdziestych ubiegłego wieku wyjechała do Nowego Jorku.

- A nazwisko Donnelly?

Rosebud skosztowała jedzenia i oblizła się ze smakiem. Dawno nie jadła czegoś tak doskonałego. Zaraz, o czym rozmawiali? Aha, pytał o nazwisko.

- Po wojnie secesyjnej jedna z moich prababek wyszła za mąż za białego. Nazwisko przetrwało, bo rodzili się sami chłopcy.

- Aż wreszcie urodziłaś się ty.

Zastygła z widelcem uniesionym w połowie drogi do ust. Po chwili odłożyła go na talerz i odchrząknęła.

- Miałam brata. Był jednym z tych, których śmierć FBI zakwalifikowała jako samobójstwo.

Dostrzegła, jak Dan nieruchomieje. Brawo, wspaniale to rozegrałaś, skarciła się w duchu. Najlepiej wzbudzić w przeciwniku współczucie, powołać się na śmierć brata. Zrobiło jej się wstyd. Cholera, musi być jakiś inny sposób pokonania Cecila. Myśl, Rosebud, myśl! Wszystko jest lepsze od romantycznej kolacji z jego bratankiem.

Dan pierwszy przerwał ciszę.

- Postaram się czegoś dowiedzieć.

- Już to mówiłeś.

Położył rękę na jej ramieniu.

- Wiem. Nie rzucam słów na wiatr.

Chciała mu wierzyć, ale zbyt wielu mężczyzn, i białych, i Indian, łamało obietnice. Z drugiej strony Dan spoglądał na nią tak, jakby mówił szczerze.

Od jego dotyku zrobiło jej się ciepło. Czuła, jak żar rozchodzi się po jej ciele. W głowie kłębiły się dziesiątki myśli, lecz na żadnej nie mogła się skupić. Narastało w niej pożądanie. Uśmiechnęła się nieśmiało. Dłoń Dana przesunęła się nieco niżej. Niedobrze. Wciąż ten żar. Wiedziała, że musi mieć się na baczności. Za dużo było tych uśmiechów, dotyków, obiecanek.

- Zawsze dotrzymujesz słowa?

- Zawsze. - Wskazał talerz. - Jedz. Będzie zimne.

Na szczęście kolacja jeszcze nie wystygła. Rosebud jadła w milczeniu, starając się opanować emocje.

- Przekaż Marii, że jedzenie było wyśmienite - poprosiła.

- Ucieszy się.

- Długo ją znasz?

- Od tygodnia.

Czyli od tygodnia jest u wuja. Gdyby przyjechał wcześniej, pewnie by o tym usłyszała.

- Sprawiacie wrażenie starych przyjaciół.

Może uśmiech na jego twarzy oznacza pewność siebie, a nie arogancję?

- Mama wychowała mnie tak, żebym uprzejmie traktował wszystkich, i pokojówkę, i króla.

- Twoja matka to mądra kobieta.

- Bardzo mądra. Jest wiceprezesem Armstrong Holdings. Razem kierujemy teksaskim oddziałem firmy. - Zsunąwszy się ze stołka, Dan zajrzał do lodówki. - Maria upiekła dla nas ciasto. Skusisz się?

- Owszem. Czy twoja matka odwiedzi cię w Dakocie? - spytała Rosebud. Chętnie by ją poznała.

- Wątpię, żeby chciała przekroczyć granicę stanu, w którym rezyduje Cecil.

To było niezwykle intrygujące obserwować, jak Dan żartuje, a po chwili milknie i poważnieje. Może nie był przesadnie wylewny, ale nawet nie próbował ukrywać emocji. Podejrzewała, że byłby kiepskim pokerzystą.

- Naraził się jej?

- To stare dzieje. Było dwóch braci, Cecil i mój ojciec. Mama wołała mojego ojca. Cecil nigdy im tego nie wybaczył. Nawet nie przyszedł na pogrzeb brata.

- A ty dla niego pracujesz? - Zadała to pytanie, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Dan postawił przed nią talerzyk z ciastem, po czym usiadł. Obróciwszy się, popatrzył jej w oczy. Na jego twarzy malowała się powaga i ledwo skrywana wściekłość.

- Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz - rzekł kategorycznym tonem. - Nie pracuję dla Cecila. Odziedziczyłem po ojcu połowę biznesu. Jestem współwłaścicielem tego domu, praw wodnych i przyszłej zapory. Armstrong Holdings w równej mierze należy do mnie, co do Cecila.

- Ale pomagasz wujowi.

Z jego spojrzenia biła furia.

- Nie wujowi. Dbam o własne interesy.

Wiedziała, że nie powinna dalej drażnić, ale nie mogła się powstrzymać. Może to była ta szansa, na którą czekała? O którą się modliła? Nie bardzo wierzyła, że uda jej się przekonać Dana, aby zrezygnował z budowy zapory, ale musiała spróbować.

- Twoja firma chce zalać mój rezerwat.

Odwrócił wzrok, jakby ona wygrała, a on przegrał. Po chwili jednak pokręcił głową.

- Obowiązuje prawo wywłaszczenia na cele publiczne. Czyli nie przegrał. Przegranym będzie plemię Lakotów. Rząd przekaze ziemię Cecilowi. Powstanie hydroelektrownia i sztuczne jezioro. Politycy skorzystają na niższych cenach za elektryczność. Historia lubi się powtarzać: biali potrzebują ziemi bardziej od Indian. Rosebud ze zdziwieniem zauważyła, że cała ta sytuacja przygnębia Dana. Położyła rękę na jego ramieniu.

- Nie poddam się bez walki - oznajmiła.

Odłożył widelczyk i ująwszy jej palce, zaczął je pocierać. Dobrze, że siedziała, bo kolana na pewno by się pod nią ugięły.

- Pytanie brzmi: bez jakiej walki?

Bała się. Trzy lata samotności to długo. Wiedziała, że nie powinna ulegać emocjom, ale... Przynęła się bliżej - na tyle blisko, że widziała niewielką bliznę na policzku Dana; na tyle blisko, że jego oddech łaskotał ją w twarz.

- Możesz zajrzeć do mojej torby. Nie noszę broni.

Przycisnął jej dłoń do piersi.

- Słusznie - szepnął, muskając wargami jej usta. - Jesteś na to zbyt inteligentna.

Ona inteligentna? Na miłość Boga! Siedzi w kuchni Cecila Armstronga, całuje się z jego bratankiem, którego prawie nie zna i do którego strzelała. Czy tak postępuje inteligentna kobieta?

Z drugiej strony czy tak postępuje inteligentny mężczyzna? Wiedział, a przynajmniej podejrzewał, że to ona przestrelała mu kapelusz. A mimo to się do niej zaleca. Nie potrafiła go rozgryźć. Kim jest Dan? Kim jest ten człowiek, który pracuje dla jej wroga?

Kimkolwiek był, przywierał ustami do jej ust. Całując ją, nie był agresywny ani władczy, raczej delikatnie pytał o pozwolenie. Zdecydowanie nie był to pocałunek wroga. Wróg by przystąpił do ataku, nie czekałby na jakiś znak. Jedną ręką Dan ścisnął jej dłoń, drugą podniósł i lekko pogładził ją po policzku. Rosebud odruchowo przysunęła się bliżej. Chyba to był ten znak, na który czekał. Pocałunek stał się bardziej namiętny. Przeszła myśleć o tym, co powinna, a czego nie powinna. I przypomniała sobie, jak to jest być kobietą ogarniętą pożądaniem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie zamierzał jej całować, w każdym razie nie przed deserem. Ale położyła rękę na jego ramieniu i obiecała, że się nie podda bez walki. A sposób, w jaki to mówiła... Nie jakby zamierzała pozwać go do sądu, lecz jakby proponowała, by dalszą część dyskusji odbyli w łóżku.

Plan był inny. Miał ją rozpracować, znaleźć jej słabe strony, spróbować ją uwieść. Ale to ona go uwodzi.

Nie miało to znaczenia. Wszystko jedno, z jakiego powodu zaprosił ją na kolację. Ważne, że przyszła, że byli w domu sami, że trzymał ją w ramionach, a ona go całowała. Wyczuwał w niej słodycz z odrobiną goryczki. Obejmując go za szyję, wpijała się w jego usta, a on z narastającym podnieceniem odwzajemniał pocałunki...

Raptem nastąpił koniec. Odsunęła się gwałtownie. Co, do diabła? Zaczerwieniła się i utkwiała wzrok w kawałku ciasta, którego nie tknęła. Przed chwilą jej ręce i usta mówiły „tak”, a teraz była uosobieniem sprzeciwu. Dan zacisnął zęby i przyjrzał się jej uważnie. Jeszcze żadna kobieta, którą całował, nie wyglądała na tak nieszczęśliwą.

Żal, pomyłka, błąd - to czytał w jej twarzy. Ogarnęły go wyrzuty sumienia.

- Przepraszam. Nie powinienem był...

Zanim się spostrzegł, Rosebud wstała.

- Muszę iść.

Podjęła decyzję. Nie było sensu się z nią spierać.

- Odprowadzę cię do samochodu.

Nie zaproponowała, ale idąc przez dom, a potem podjazdem, pilnowała, aby był między nimi dystans. A gdy dotarła do auta, stanęła i splotła ręce z tyłu.

- Dziękuję za kolację. Przekaż, proszę, Marii, że jedzenie bardzo mi smakowało.

Nie że spędziła miły wieczór, tylko że jedzenie jej smakowało. Zaboląły go jej słowa.

- Tak jak się umawialiśmy, będę u ciebie w poniedziałek o dziewiątej. - Dotrzymywał obietnic. Zresztą sam ciekaw był prawdy o śmierci jej brata. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu?

Przez kilka długich sekund milczała. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Nic dziwnego, że trzech prawników Cecila nie poradziło sobie z Rosebud.

- Nie mam - odparła tonem wskazującym na to, że wolałaby go więcej nie oglądać.

- Po prostu wykonujesz swoją pracę.

Wsiadła do auta, włączyła silnik i ruszyła. Spod tylnych kół trysnęła fontanna żwiru.

Po prostu wykonujesz swoją pracę. Jej słowa dźwięczały mu w uszach. Czuł się paskudnie. Okręcił się na pięcie, zamierzając wrócić do domu, kiedy nagle dojrzał jakieś pomarańczowe światełko wśród krzaków, mniej więcej metr osiemdziesiąt nad ziemią. Moment później światełko znikło.

Przeszył go dreszcz. Przypomniawszy sobie, co mu na pożegnanie powiedział Thrasher: Wątpię, abyś mnie kiedykolwiek jeszcze zobaczył. Pewnie wuj kazał go śledzić. W Dana wstąpiła dzika furia, taka sama jak po śmierci ojca, kiedy Cecil zjawił się u matki w domu i oświadczył, że jeśli go nie poślubi, odbierze jej firmę. W owym czasie Dan miał zaledwie szesnaście lat, ale postawił się Cecilowi. Teraz też nie pozwoli, żeby wuj grał mu na nosie.

Niech to szlag, pomyślał, zmuszając się, aby spokojnym krokiem wrócić do domu. Po co dawać Thrasherowi znać, że został zauważony. Niech szlag trafi Cecila. Niech wszystko szlag trafi.

Po chwili namysłu podjął decyzję: resztę wieczoru spędził na przeczesywaniu kuchni. Szukał zamontowanych kamer i podsłuchów. Wiedział, w czyjej gra drużynie.

- Dzień dobry, panie Armstrong.

Ledwo minął próg, a recepcjonistka już wyciągnęła do niego rękę z kubkiem kawy. Dziś był mądrzejszy: postanowił ograniczyć się do dwóch kubków.

- Panna Donnelly czeka.

- Dziękuję... - zawahał się, próbując przypomnieć sobie imię kobiety - Judy.

Jej uśmiech świadczył o tym, że mu się udało.

Poprowadziła go do żaloznej namiastki sali konferencyjnej. Rosebud była już na miejscu. Siedziała przy stole, a przed nią stało pudło z dokumentami.

- Dzień dobry, panie Armstrong. - Nawet nie podniosła głowy. - Co za punktualność.

Zachowywała się jak recepcjonistka Judy, a nie jak kobieta, którą całował dwa dni temu.

- Witaj, Rosebud. - Nie zamierzał wracać do formy pan-pani. - Uznałem, że ją docenisz.

Na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech. Brzydki pokój o ścianach w kolorze rozgotowanej owsianki od razu pojaśniał. Po chwili uśmiech zgasł. Dan zerknął na leżącą obok torbę. Czy miała w niej broń?

- To wszystkie dokumenty? - Usiłował dyskretnie podejrzeć jej zapiski w notesie, ale je zasłoniła.

- Nie. Ale na dziś wystarczy.

Rozejrzał się po sali. Dwa dodatkowe krzesła, które poprzednim razem zajmowała Emily i Joe, znikły. Znow będzie musiał siedzieć na chybottliwym stołku. Był pełen podziwu dla sprytu Rosebud; robiła, co mogła, aby utrudnić mu zadanie.

- A są to...?

- Nie rozumiem.

- Czy są to materiały dotyczące Cecila, zapory czy dokumenty ze śledztwa?

Czekał. Zero reakcji. Rosebud nie tylko nie przypominała kobiety, którą całował, ale wzniosła wokół siebie mur. Pilnowała się, by nie okazać najmniejszej słabości, którą mógłby wykorzystać.

- Dokumenty ze śledztwa - odparła wreszcie, po czym skupiła się na notatkach. - Podobno nie rzucasz słów na wiatr.

- Owszem. - Usiadł ostrożnie na krzeselku. Rozległ się dziwny ni to pisk, ni to zgrzyt, jakby przygniótł sobą wiewiórkę. Albo puścił bąka. Po drugiej stronie stołu zobaczył rozbawione spojrzenie Rosebud. - Dobrze się bawisz?

- Znakomicie.

Okej, pomyślał. Różnica między Rosebud uśmiechniętą a Rosebud skrzywioną warta jest cierpienia. Wyciągnął z pudła górną teczkę i zaczął czytać raport sporządzony przez policję.

„Tanner Donnelly, mężczyzna, lat 28, znaleziony cztery lata temu przez swoją ciotkę, Emily Mankiller, z rewolwerem kalibru 5,6 mm w ręce i pasującą kulą tkwiącą w skroni. Najbliższa rodzina denata: ciotka i siostra Rosebud". Poniżej zamieszczono informację, że według kobiet zmarły zawsze miał przy sobie blaszki identyfikacyjne, lecz śledczy ich nie znaleźli.

Agentem, który z ramienia FBI zajmował się sprawą, był niejaki Thomas Yellow Bird. Oddzielnateczka zawierała informacje na jego temat. Yellow Bird był znajomym Tannera; robił wszystko, co w jego mocy i na co tylko zezwalali mu przełożeni, aby rozwikłać sprawę śmierci Donnelly'ego. Wśród dokumentów Dan znalazł również wydruk z datami mejli oraz telefonów do Jamesa Carlsona, prokuratora federalnego z Waszyngtonu.

Dziwne, pomyślał Dan, zapisując nazwisko. Co innego Yellow Bird, a co innego jakiś Carlson. Czyżby Rosebud miała znajomości w Waszyngtonie? Chyba nie, a ostatnia data była sprzed dziesięciu miesięcy. Widocznie Rosebud doszła do ściany i dlatego zwróciła się o pomoc do niego.

W pudle znajdowała się też gruba teczka zawierająca notatki i wywiady. Część była pisana na maszynie, część starannym charakterem pisma. Kto dziś pisze ręcznie?

Dan wszystko czytał, notował każdą informację, która wydawała mu się ważna. Palce go bolały od ściskania długopisu. Nie lubił małych laptopów, zbyt łatwo można było je stracić lub upuścić, ale uznał, że przy najbliższej okazji kupi sobie taki.

Przejrzawszy dokumenty, miał wrażenie, jakby znał Tannera na wylot. Wiedział o nim wszystko, począwszy od tego, jakie płatki jadał na śniadanie, a skończywszy na imieniu pierwszej dziewczyny, z którą się całował. Facet wydawał się sympatyczny. Jeżeli w notatkach Rosebud pisała prawdę, a nie miał powodu wątpić, nie dziwił się, że nie chciała przyjąć wersji o samobójstwie brata.

Tyle że nie znalazł nic, co by wskazywało na winę Cecila lub Thrashera. Nigdzie nie było choćby najmniejszej wzmianki o Armstrong Holdings. Hm. Kiedy podniósł głowę, ujrzał utkwione w niego oczy Rosebud.

- I co?

- Jesteś niezwykle dokładna. Skrupulatna.

Uderzając w stół długopisem, zmrużyła oczy.

- To właśnie powiedziałeś wujowi?

- Słucham?

- Po naszej... kolacji. Na pewno był ciekaw, czy wykonałeś zadanie.

Może mu się wydawało, ale gotów był się założyć, że lekko się zaczerwieniła.

- Pytasz, czy mówiłem mu o pocałunku?

Nie, nie mylił się. Czerwień pogłębiła się, a Rosebud nerwowo zerknęła w stronę holu. Był pusty.

- Takie otrzymałeś polecenie, prawda? Nie jestem głupia.

Nie. Cecil faktycznie kazał mu ją uwieść.

- Tylko kretyń mógłby tak pomyśleć. - Chyba nie uważała go za idiotę? Albo, co gorsza, za sługusa Cecila?

Skrzywiła się.

- Unikasz odpowiedzi.

Nie był pewien, czy rozmawia z Rosebud kobietą czy Rosebud prawniczką.

- Chryste, zachowujesz się, jakby moja firma pocałowała twoje pleamię.

- A nie? - Na jej twarzy pojawił się wyraz wahania.

Wiedział, że chybotałe krzeselko może nie wytrzymać, ale zaryzykował i pochylił się do przodu. Krzesło zaskrzypiało żałośnie, ale nie rozpadło się.

- Nie przyszło ci do głowy, że ja, Dan Armstrong, całuję ciebie, kobietę?

Twarda z niej sztuka. Nawet nie drgnęła.

- Twój wuj dostrzegłby różnicę? - spytała, choć miała ochotę warknąć: odpowiedz na moje pytanie!

- Ciekawi cię, co mu powiedziałem, tak?

- Owszem. - Wyprostowała się.

Ponownie ryzykując upadek, Dan odsunął się od stołu. Gdyby Cecil słyszał, co mówi, oskarżyłby go o zdradę. Ale przeszukanie kuchni, a także sypialni, którą mu wuj przydzielił, zakończyło się bezowocnie, nic nie znalazł. Liczył na to, że w nędznej klitce, w której teraz przebywa z Rosebud, też nie ma ukrytych pluskiew.

- Powiedziałem, że nie pójdzie mi z tobą tak łatwo, jak się spodziewałem. Że jesteś silna i inteligentna. Że potrzeba mi więcej czasu.

- Rozumiem. Ile więcej?

- Spotykacie się w sądzie za pięć tygodni...

- I co? Do tego czasu masz się ze mną rozprawić?

- Tak. Tego właśnie by chciał.

Zastygła w bezruchu. Przestała uderzać długopisem o stół, przestała mrugać i jakby przestała oddychać.

- A czego ty chcesz? - spytała w końcu szeptem.

Dobre pytanie. Ale nie zamierzał odpowiadać na nie, siedząc na tym koszmarnym krześle. Wstał najzgrabniej, jak potrafił, i podszedł do okna.

- Wiesz, jaki jest nieformalny slogan Google'a? Nie czynź zła.

- Szlachetne, acz naiwne.

- Kolacja była takim właśnie pomysłem. Szlachetnym, acz naiwnym.

- Nie jestem naiwna.

- Ty nie, ja tak. Byłem naiwny, sądząc, że można oddzielić życie prywatne od zawodowego. Pocałunek kobiety i mężczyzny od procesu, jakie plemię Lakotów wytoczyło mojej firmie.

Nawet gdy tak groźnie na niego patrzyła, była piękna. Marzył o tym, by zaprosić ją na prawdziwą randkę, zabrać jak najdalej od tej paskudnej sali konferencyjnej i domu, w którym mieszkał Cecil, gdzieś, gdzie nic by się nie kojarzyło z Armstrong Holdings, zaporą na rzece i plemieniem Lakotów, gdzie byliby zwyczajnym Danem i Rosebud. Marzył o tym, by rozpleść jej warkocz, zedrzyć z niej... Nagle spostrzegł jej strój. Chyba w tym samym kostiumie przyjechała do niego na kolację. I chyba w tym kostiumie wystąpiła tydzień temu, podczas ich pierwszego spotkania u niej w biurze.

Czyżby to cała jej garderoba? Chyba się na nią gapił, bo speszona zaczęła nerwowo zgarniać ze stołu papiery.

- Co się stało z kopiarką? - spytał, zanim zdążył ugryźć się w język.

Podejrzewał, że musi to mieć związek ze skromną zawartością szafy pani prawnik.

- Zepsuła się - odparła. Chwyciwszy pudło z dokumentami, skierowała się ku drzwiom. - Żegnam, panie Armstrong.

Drzwi się za nią zatrzasnęły.

Dan wyszedł na dwór. Mrużąc oczy przed jaskrawym słońcem, zobaczył mężczyznę na parkingu. Zresztą trudno było go nie zauważyć: oparty o czarne auto Crown Victoria, miał na sobie czarne okulary słoneczne i czarny garnitur. Gość na pewno był przedstawicielem prawa, ale chyba nie pracował w miejscowej policji.

Odcieniem skóry nie różnił się od Lakotów, ale cała reszta się nie zgadzała. Miał krótko przystrzyżone włosy, no i ten garnitur... kosztował co najmniej tysiąc. Po ruchach jego głowy Dan poznał, że facet obserwuje go zza ciemnych szkieł. Czuł się tak, jakby wpadł w zasadzkę.

- Dan Armstrong?

- Zależy. A kto pyta?

- Tom Yellow Bird - przedstawił się obcy.

Kiedy wyciągnął na powitanie dłoń, jego marynarka rozchyliła się. Pod nią Dan ujrzał glocka.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Yellow Bird?

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem.

- Zależy, w jakim celu pan tu przyjechał. Słyszałem, że interesuje pana sprawa samobójstwa Donnelly'ego?

- Wieści szybko się rozchodzą.

- To mały rezerwat. A stanie się jeszcze mniejszy, jeżeli plany Cecila Armstronga się ziszczą. - Yellow Bird zamilkł. Po chwili, nie doczekawszy się reakcji, kontynuował:

- Poznał pan Rosebud?

- Tak. A pan ją zna?

- Znałem jej brata. - Powiedział to takim tonem, jakby Rosebud była nieznośną młodszą siostrą przyjaciela. Dan miał ochotę uśmiechnąć się, zachował jednak powagę. - Straciliśmy świetnego faceta. My - Indianie. Oraz my - FBI.

- Nie wierzy pan w samobójstwo?

Yellow Bird podrapał się po brodzie.

- To wersja oficjalna. Dochodzenie zamknięto dwa lata temu.

- A wersja nieoficjalna?

Indianin pokręcił głową, jego twarz przybrała surowy wyraz. Widać było, że z tym człowiekiem nie ma żartów.

- Wie pan, że za rok o tej porze ten parking znajdzie się mniej więcej trzy metry pod wodą?

Nieoficjalnie Yellow Bird dalej prowadził śledztwo.

- Taki jest plan.

- Wszystko zawsze można zmienić. - Mężczyzna wyjął z kieszeni wizytówkę. -

Nieoficjalnie.

Po chwili samochód odjechał. Dan wolno obrócił się, sprawdzając, czy ktoś obserwował jego spotkanie z Yellow Birdem. Parking wciąż był pusty, w wąskich oknach budynku nie dojrzał żadnych twarzy.

Do licha, o co w tym wszystkim chodzi? Miał niejasne przeczucie, że rozmowa bardziej dotyczyła Armstrong Holdings niż Tannera. Gdyby nie wiedział lepiej, byłby skłonny podejrzewać, że Yellow Bird zostawia uchyloną furtkę, oczywiście nieoficjalnie. Na wszelki wypadek.

Wprawdzie instynkt go rzadko mylił, ale tym razem Dan nie dałby sobie ręki uciąć.

Dla Rosebud kolejne spotkania z Danem były lepsze, a zarazem gorsze od pierwszego. Zjawiał się codziennie o dziewiątej, siadał na rachitycznym krześle, przeglądał dokumenty i robił notatki, w tym czasie ona przygotowywała się do wystąpienia w sądzie. Teoretycznie czas mógłby się jej dłużyć, ale tak nie było.

We wtorek Dan przyniósł domowej roboty ciastka z kawałkami czekolady. W środę babeczki czekoladowe. W czwartek pyszne muffinki dla całego biura. W piątek znalazł już wszystkich z imienia i nazwiska. Tego dnia przyniósł dodatkowe bułeczki cynamonowe dla Emily. Rosebud nie miała pojęcia, czy Dan próbuje się podlizać czy może poczytał coś na temat Indian i odkrył, że przynoszenie darów leży w tradycji Lakotów. Tak czy inaczej powoli zdobywał powszechną sympatię.

Judy wręcz się w nim zadurzyła, a Rosebud wcale to nie zdziwiło. Dan był przystojny, inteligentny, do biednych nie należał, o wszystkich się troszczył. W dodatku nie

nosił obrączki, a nawet - jak niektórzy mężczyźni - nie miał po niej odcisniętego śladu. Tak, w Danie z łatwością można się zakochać.

Ona sama cały czas miała się na baczności, ale niepotrzebnie. Dan był prawdziwym dżentelmenem. Nie próbował jej dotykać, nie mówiąc już o całowaniu. O poprzednim pocałunku nawet nie wspominał. Zachowywał się tak, jakby nic między nimi nie zaszło. Rozmawiali wyłącznie na tematy zawodowe, a jeśli chodzi o Tannera, to wierzył w jej wersję zdarzeń.

Chyba nie kłamał, twierdząc, że nie mówił wujowi o ich pocałunku. Powinna być zadowolona. Na myśl o tamtym dniu wciąż czuła dreszcze, nie zamierzała jednak iść z Danem do łóżka, a on, człowiek kulturalny i dobrze wychowany, najwyraźniej tego od niej nie oczekiwał.

Najgorsze, że śnił jej się w nocy. Że ją całuje, ale nie tylko. Jednego wieczoru pojechali razem na przejażdżkę konno, a potem kochali się nago nad brzegiem Dakoty. Innym razem kochali się w indiańskim tipi. Rano budziła się zgrzana i podniecona, potem szła do pracy, gdzie starała się nie zwracać na Dana uwagi. W piątek była już mocno zirytowana; bała się, że dłużej nie wytrzyma.

Na szczęście w weekend mogła odpocząć. Jeśli samochód nie odmówi jej posłuszeństwa, wybierze się do swojej aima mater, Uniwersytetu Dakoty Południowej, by zdobyć więcej informacji na temat Dana. W biurze nie miała komputera z dostępem do internetu.

Zostały jej już tylko cztery tygodnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dan stał pochylony nad ogromnym projektem architektonicznym, porównując plany budowy z dokumentacją inżynierską. Za nim stał Virgil Naylor, szef Naylor Engineering, który cały czas coś zawzięcie tłumaczył. Był to drobny człowiek odznaczający się dużą nerwowością, na którą nie bez wpływu pozostawało milczenie Dana.

Dan intuicyjnie wyczuwał, że coś jest nie tak, ale nie potrafił się do niczego konkretnie przyczepić. W pewnym momencie wskazał na przypis mniej więcej w środkowej części raportu.

- Tu jest napisane, że elektrownia przepływowa dostarczałaby niemal tyle samo megawatów.

- Gdyby spełnione zostały wszystkie warunki - odparł Naylor, machając lekceważąco ręką.

- No właśnie, gdyby. - Elektrownia przepływowa miałaby sens. Nie spiętrzałyby wody i nie wymagałyby tworzenia zalewów. Dolina i rezerwat indiański nie zostałyby zniszczone.

Naylor skrzywił się, jakby ssał cytrynę.

- Bo szczytowo-pompowa jest lepsza, spełnia rolę akumulatora energii...

Dan zadał mnóstwo pytań o koszty, zyski i straty, po czym wykonał w głowie skomplikowane obliczenia.

- Różnica wynosi niecałe trzy tysiące dolarów rocznie - stwierdził.

- Tak, panie Armstrong, ale zalety elektrowni szczytowych i zbiorników retencyjnych... - Po raz trzeci w ciągu dwóch godzin Naylor rozpoczął wywód.

Dan westchnął sfrustrowany. Zastanawiał się, czy nie poprosić Jima Evansa, swojego specja z Amarillo, by tu przyjechał i przyjrzał się zagadnieniu, kiedy zadzwonił telefon. Dzięki Bogu, pomyślał, wyjmując komórki z pokrowca umieszczonego w pasie. Nie znał numeru na wyświetlaczu, ale poprzedzał go miejscowy numer kierunkowy.

- Halo?

- Dan? Mówi Rosebud. Rosebud Donnelly - sprecyzowała, jakby znał dziesiątki kobiet o tym imieniu.

Hm, dzwoni do niego? Najwyraźniej ciasteczka i babeczki odniosły skutek. Starając się powstrzymać uśmiech, przeprosił Naylora i wyszedł na zewnątrz, z dala od jego ciekawskiego spojrzenia.

- No hejka, co tam? - Hejka? Rany boskie! Zagada jak małolat.

- Ja... utknęłam - powiedziała zrozpaczonym tonem. - Silnik mi zgasł i nie mam kogo prosić o pomoc.

Dama w potrzasku? Albo była zdesperowana, skoro wykręciła jego numer, albo... mniejsza z tym. Nie ma sensu snuć domysłów.

- Akurat kończę spotkanie. Gdzie jesteś?

Na długim końcu linii zaległa długa cisza.

- Wiesz, gdzie jest Uniwersytet Dakoty Południowej? - spytała w końcu.

- Nie. A co tam robisz?

- Chciałam coś sprawdzić. Możesz mnie odebrać?

- Za kwadrans będę wolny.

- Czekam na parkingu, sektor D, za biblioteką. Droga zajmie ci mniej więcej godzinę.

- Okej, do zobaczenia. - Rozłączywszy się, utkwiał wzrok w komórce.

Za biblioteką? Ciekawe, czy na tym uniwersytecie mają wydział prawa?

- Panie Armstrong? - Naylor wyszedł na werandę. - Robi się późno. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Jedno. - Dan z trudem oderwał myśli od Rosebud i ponownie skupił się na bieżących sprawach. - Komu pan mówił o możliwości zbudowania zapory bez zbiornika retencyjnego?

Mężczyzna poczerwieniał.

- Zapewniam pana, że w Naylor Engineering obowiązuje dyskrecja zawodowa...

- Więc nie rozmawiał pan o tym z żadnym przedstawicielem plemienia Lakotów?

- Oczywiście, że nie - oznajmił mężczyzna z oburzeniem w głosie. - Te dzikusy zniszczyły sprzęt wartości kilku tysięcy dolarów. Z takimi to ja nie gadam.

Dan miał wrażenie, jakby słyszał wuja. Od przyjazdu do Dakoty Południowej krążył między ranczem, rezerwatem i terenem wyznaczonym pod budowę zapory. Miał

niewielki kontakt z miejscową ludnością, ale... Czyżby wszyscy tacy byli? Czy dlatego Rosebud przerwała pocałunek i tak szybko odjechała? Bo bała się, że on też nazwie ją dzikuską?

Pokręcił zde gustowany głową. Co za wredny typ! Rosebud, był o tym przekonany, poradziłaby sobie wszędzie: i w nędznym barze, i eleganckiej sali obrad, i na jednym z tych przyjęć w ogrodzie, które jego matka uwielbiała latem organizować. Obserwując, jak Naylor wsiada do auta, nie miał wątpliwości, kto jest dzikusiem. Na pewno nie ta piękna prawniczka.

Zanim znalazł sektor D, minęło niemal półtorej godziny. Przeklęty GPS! - powtarzał pod nosem, wypatrując kobiety przy starym gruchocie. Siedząc w siodle, potrafił przeliczać euro na jeny i wykonywać skomplikowane obliczenia finansowe, lecz gdy słuchał GPS-a, skręt w prawo mylił mu się ze skrętem w lewo. Dochodziła piąta w sobotnie popołudnie, teren kampusu był całkiem wyludniony... No, wreszcie! Na końcu parkingu dostrzegł samochód Rosebud. Ją samą zobaczył dopiero, gdy podjechał bliżej.

Siedziała za kierownicą, zaciskając na niej ręce. Z rozpuszczonymi włosami i w jasnozielonym opiętym T-shircie bardziej przypominała studentkę niż prawniczkę.

Na widok Dana wysiadła i rozejrzała się niepewnie. Czego się bała? Zresztą mniejsza o to. Wyglądała fantastycznie. Bez względu na to, jak się wieczór zakończy, Dan cieszył się, że ma okazję podziwiać ją w obcisłych dżinsach. Po chwili uznał, że żadna studentka nie dorasta Rosebud do pięt.

- Cześć. - Uśmiechnęła się. - Ładny kapelusz.

Przyłożył palce do rąka.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że przetrwa w stanie niepodziurawionym choć przez kilka dni.

Przechyliła głowę, czarne jedwabiste włosy opadły jej na jedno ramię. Danowi stała przed oczami kobieta na pinto, którą zobaczył pierwszego dnia podczas przejażdżki w dolinie. To musiała być ona. Owszem, słyszał, jak głupcy w miasteczku mówią, że wszyscy Indianie wyglądają jednakowo, ale... każdy ma jakiś powód. Ciekawe, jaki ona miała? Zerknął do jej auta. Nie widział leżącej na wierzchu broni, ale było tam sporo schowków na mapy, więc...

- Nie udało mi się niczego dowiedzieć - rzekła bez przekonania, jakby nie chciało jej się dłużej kłamać.

Było ciepło sobotnie popołudnie; znajdował się na terenie uniwersytetu, w stosunkowo dużym jak na Dakotę mieście, w towarzystwie pięknej, choć groźnej kobiety...

- Nie musiałaś czekać w samochodzie. Jest tak przyjemnie na zewnątrz.

- W samochodzie jest bezpiecznie. Tym bardziej że bibliotekę już zamknięto. - Ponownie obdarzyła go uśmiechem. - Dzięki, że przyjechałeś.

- Co z twoim autem?

Znużenie, jakie wcześniej słyszał w jej głosie, pojawiło się teraz w jej spojrzeniu.

- Nie wiem. Silnik nie zapalił. Kiedy jechałam w tę stronę, coś dziwnie buczało, ale liczyłam, że zdołam wrócić.

Dan zajrzał pod maskę. W swoim czasie rozebrał i złożył kilka silników, ale ten był przedpotopowy. Zobaczył zerwany pasek klinowy, a akumulator wyglądał tak, jakby był przerdzewiały na wylot.

- Kiedy ostatni raz robiłaś przegląd?

Rosebud przygryzła wargę i spuściła wzrok.

- Nie wiem. Kilka lat temu.

- Masz szczęście, że tu dojechałaś.

Swoim zwyczajem uniosła butnie brodę, po czym wsadziła ręce do kieszeni na pupie, nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób nieświadomie wypina piersi.

- Raczej że ty mogłeś przyjechać mi na ratunek.

Dan szczyił się tym, że umie odczytywać sygnały wysyłane przez pleć przeciwną. I teraz czytał: jest sobota, zabawmy się.

- W takim razie oboje mamy szczęście.

- To się okaże. - Powiodła po nim wzrokiem.

Hm, może nigdy jej nie rozgryzie, ale chętnie spróbuje. Co jak co, nudzić się nie będzie.

- Wezwałaś holownik?

Oj, to nie było dobre pytanie. Rosebud zasępiła się.

- Nie.

- Bo?

- Poproszę Joego. On mnie doholuje.

- Kiedy?

Milczała. To mu wystarczyło za odpowiedź. Ta kupa złomu, która służyła jej za samochód, pewnie z tydzień będzie stała na parkingu, o ile ktoś jej wcześniej nie wywiezie na złomowisko. Dan wyciągnął komórkę.

- Zadzwonię po pomoc drogową.

- Nie! - Rosebud chwyciła go za nadgarstek. - Proszę, nie dzwoń.

- Daj mi jeden dobry powód.

Popatrzył jej w oczy. Zatrzepotała rzęsami.

- Nie... Nie mam przydzielonych funduszy na takie cele.

Przydzielonych funduszy? Czy nie mogła powiedzieć tego zwyczajnie?

- To znaczy nie masz forsy na naprawę auta?

Puściwszy jego nadgarstek, odskoczyła, jakby ją prąd kopnął. Wyglądała jak wystraszone zwierzątko.

- Nie mam.

Nagle fragmenty łamigłówki ułożyły się w całość. Zepsuta kserokopiarka. Jeden kostium. Ręcznie pisane notatki. Godzinna podróż, by „coś sprawdzić” w bibliotece. Rosebud Donnelly jest splukana.

Zawahał się. Do diabła z tym! Sekundę później wiedział, co powinien zrobić.

- Nieprawda, masz - rzekł, ponownie wybierając numer.

Oburzona Rosebud wzięła głęboki oddech.

- Posłuchaj - ciągnął, nie dając jej dojść do słowa. - Zabieram ci mnóstwo czasu.

Całymi dniami musisz przy mnie siedzieć. Mój prawnik w Teksasie liczy sto dwadzieścia pięć dolarów za godzinę konsultacji. Ile to by było? Sześć godzin dziennie przez pięć dni? Około czterech tysięcy.

- Dolarów? - Otworzyła usta.

- A czego?

- Nie mogę...

Dan uniósł rękę. Na drugim końcu linii rozległ się głos.

- Tak, muszę odholować samochód do warsztatu.

Kiedy skończył rozmawiać, zobaczył, że Rosebud siedzi na krawężniku, z brodą opartą o kolana. Zamiast cieszyć się, że wóz wkrótce będzie naprawiony, sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Usiadł obok.

- Uwierzysz mi, że nikt nie wie, że tu jestem?

- A powinnam? - Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, ale mogłabyś, bo to prawda.

Kątem oka zauważył cień uśmiechu na jej twarzy.

- Jestem prawniczką, Dan. Prawda to rzecz wysoce względna.

- Lubię wykladać karty na stół. Fakty są następujące: nikomu nie mówiłem o naszym pocałunku. Kiedy wyszłaś, sprawdziłem kuchnię. Żadnych podsłuchów nie znalazłem. Dzisiaj, kiedy zadzwoniłaś, wyszedłem na zewnątrz, żeby nikt nie słyszał naszej rozmowy. Nikomu, nawet Marii, nie mówiłem, kto dzwonił ani dokąd się wybieram.

Pokiwała z namysłem głową.

- I co to oznacza?

Słońce opadło niżej, chowając się za wyższe budynki. Te rzucały na parking zba-
wienny cień.

- Zanim odjedzie holownik, zrobię się głodny, więc zatrzymamy się po drodze i coś zjemy. Ja funduję.

Poderwała się na nogi.

- Nie mogę...

Dan również wstał. Postanowił zaryzykować: wziął ją za rękę. Nie wyszarpnęła jej.

- Możesz. I pozwolisz mi zapłacić. Potraktuj to jak zaproszenie na randkę. Nikt się o niczym nie dowie. Żadni wujowie, żadne ciotki, żadne firmy, żadne plemiona.

- A jeśli odmówię?

- Nie byłabyś pierwsza ani ostatnia. - Minął prawie rok, odkąd rozstał się ze swą poprzednią partnerką.

W Wichita Falls kobiety bardziej interesowały się jego majątkiem niż nim samym. Z kolei nie bardzo miał czas, by udzielać się towarzysko w Fort Worth. Ale czasem spotykał się z kimś na kolację. Rosebud ponownie przygryzła wargę.

- Zostały ci cztery tygodnie. Zdesperowany możesz się komuś wygadać.

- Zdesperowany robię inne rzeczy - oznajmił.

Podszedł bliżej i pogładził ją po policzku. Nie cofnęła się, nie uciekła. Pozwoliła się pocałować. Pozwoliła, aby ich palce się splotły, aby Dan przytulił ją z całej siły.

Poczuł, jak sutki jej twardnieją. Ileż by dał, by ściągnąć z niej bluzkę! Wiedział, że jej ciało mówi „tak”: zgadza się na randkę, może na coś więcej. Nie wiedział, co powiedzą jej usta, więc na razie czekał. A czekając, całował ją. Ale nic poza tym.

Gdyby wszystko było takie proste!

Nagle ciszę rozdarł dźwięk klaksonu. Przez opuszczoną szybę wyrzwał kierowca.

- Hej, to wyście dzwonili po holownik?

- Pomyśl o randce - szepnął Dan, odsuwając się od Rosebud.

TLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wiele można powiedzieć o mężczyźnie na podstawie samochodu, jakim jeździ. Ten miał teksaskie tablice rejestracyjne, czyli należał do Dana, a nie do agencji wynajmu aut.

Rosebud pogładziła skórzane obicie. Starła się nie być zbyt wścibska, ale... Kiedy obsługujący holownik zwrócił się do niej „skarbie”, Dan szybko wcisnął jej do ręki kluczyki. Zawsze sama załatwiała swoje sprawy, więc dziwnie się czuła, przekazując komuś władzę, musiała jednak przyznać, że przyjemniej siedzieć w czystej wygodnej terenówce niż stać przy facecie z holownika, marząc o tym, by prysnąć mu w twarz gazem łzawiącym.

Radio satelitarne? Czemu nie? Ktoś taki jak Dan nie słucha przerywanych reklamami programów w stacjach komercyjnych. Zaczęła skakać po kanałach. Muzyka country, Willie Nelson, Johnny Cash... tego się spodziewała. Ale stacja rockowa Alt Nation? Zespół Nirwana? Phish? To się kłóciło z obrazem kowboja.

Puściła utwór Mirandy Lambert i rozejrzała się po wnętrzu auta. Panował tu idealny porządek: w oczy rzucał się brak opakowań po batonach, zmiętych puszek po coli, a nawet kurzu na tablicy rozdzielczej. Na haku przy tylnej szybie wisiała strzelba. Ciekawe, czy Dan zawsze ją wozi, czy dopiero od czasu, kiedy kula przeszła mu kapelusz?

Mm, strzelba wyglądała na prawdziwe dzieło sztuki. Rosebud nie mogła oderwać od niej wzroku. Podejrzewała, że takie cacko musi kosztować majątek.

Poczuła się nieswojo. Owszem, podczas studiów w Waszyngtonie stykała się z ludźmi bogatymi, ale nawet jej narzeczony James nie kupował rzeczy tak drogich. Jednego nie potrafiła zrozumieć: czego mógł chcieć od niej taki krezus z Teksasu?

Zaczęła się wiercić niespokojnie. Dlaczego to trwa tak długo? Zerknęła w lusterko wsteczne. Dan stał pochylony nad jej samochodem. Pokazywał kierowcy różne rzeczy w silniku, a ten kręcił głową. Nie wróżyło to nic dobrego. Zacisnęła pięści. Nie wiedziała, czy pordzewiały grat jeszcze się do czegokolwiek nadaje i czy warto go naprawiać, ale to był jedyny samochód, jaki miała, a na nowy nie mogła sobie pozwolić.

Cholera, to był kiepski pomysł. Holownik, potem randka... Czyżby Dan był jednym z tych facetów, którym się wydaje, że kolacja i naprawa auta zapewnią mu kilka godzin seksu? Wzdrygnęła się. Wiedziała, że Dan ma za zadanie zwabić ją w pułapkę. Mimo to czuła, wręcz gotowa była przysiąc, że jest z nią szczerzy. Wróciła myślami do ich rozmowy. Tak, nie miała co do tego wątpliwości: po prostu chciał się z nią umówić. Jak mężczyzna z kobietą.

Ona też tego chciała. Tylko dlaczego musi nazywać się Armstrong? Dlaczego wszystko musi być tak skomplikowane?

Widząc, że Dan wraca, wyciągnęła notatki.

- Gość obiecał, że jak skończy, to zadzwoni do ciebie - rzekł, siadając za kierownicą.

Rzucił kapelusz na tablicę rozdzielczą i przechyliwszy głowę, przez moment słuchał Mirandy Lambert śpiewającej o prochu strzelniczym.

- Próbujesz mi coś powiedzieć? - spytał z uśmiechem, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Silnik zamruczał cichutko jak najedzony kocur. Rosebud poczuła leciutkie ukłucie zazdrości. Miło byłoby mieć sprawne auto, które zawsze zapala i na którym zawsze można polegać.

- Nie, ten utwór to zwykły zbieg okoliczności.

Dan wrzucił wsteczny bieg.

- Jak chcesz, mogę cię tu kiedyś przywieźć. Przez kilka tygodni będziesz niezmotywowana.

- Dzięki za propozycję, ale chyba nie skorzystam. - Kilka tygodni to długo, lecz nie musiała opuszczać rezerwatu, a po rezerwacji mogła jeździć na koniu.

- W razie czego służę. A teraz dokąd?

Czy randka to taka zła rzecz? Dwoje dorosłych, bez mężów, żon i zobowiązań, którzy idą razem na kolację i żegnają się czułym pocałunkiem? Zaczęła się zastanawiać nad miejscem, gdzie Dan dobrze by się czuł, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Kiedy mieszkała tu podczas studiów, a było to ponad siedem lat temu, nie stać jej było na eleganckie restauracje.

- To nie musi być żaden kilkunastkowy lokal - powiedział, dobrze interpretując jej milczenie. - Wystarczy pierwsza lepsza knajpa, w której dają steki.

Nagle przypomniała sobie o Bob's Roadhouse, restauracji, do której Tanner czasem zaglądał z Tomem Yellow Birdem.

- Znam jedno miejsce, chyba niezłe. Skręć w lewo, potem wjedź na autostradę. A do biblioteki nie muszę wracać, mam już wszystko.

- Szukałaś informacji o Cecilu?

- Nie - Zawiesiła głos. Wiedziała, że zaskoczy Dana. - O tobie.

Zbliżali się do skrzyżowania. Samochód zatrzymał się z piskiem opon. Pogratulowała sobie w duchu; to było nawet lepsze od chybliwego krzesła.

- O mnie?

- Tak. Wcześniej nie miałam okazji. - Ciekawa była, czy Dan potwierdzi wiadomości, które wygrzebała. - Sporo się o tobie można dowiedzieć.

Westchnął zrezygnowany.

- Znalazłaś plakat, prawda?

- Ten? - Wyciągnęła z teczek arkusz papieru. O ile obraz na ekranie komputera był wyraźny, o tyle wydruk był kiepskiej jakości. Zdjęcie przedstawiało małego chłopca z burzą jasnych loków patrzącego z uśmiechem na wieżę wiertniczą. - Byłeś twarzą Armstrong Oil?

- Błagam! Miałem siedem lat. W nagrodę za to, że się uśmiechnąłem, ojciec kupił mi lody. - Przez chwilę bębnił palcami o kierownicę. - Miętowo-czekoladowe. Pamiętam do dziś. Ten cholerny plakat reklamował firmę przez co najmniej dziesięć lat. Chyba każda dziewczyna, z którą chodziłem do szkoły, miała go w swojej szafce. - Popatrzył na Rosebud, a speszzenie na jego twarzy sprawiło, że znów wyglądał jak chłopiec na plakacie. - Lody nie były tego warte.

- Nie chciałeś być ślicznym grzecznym chłopczykiem?

- Nienawidziłem tego aniołka na zdjęciu, dlatego robiłem rzeczy... inne. Chciałem być twardzielem.

- I jako twardziel przez cztery lata dostawałeś najwyższe oceny? No, może. Ale również zapisałeś się do drużyny rodeo. - Co jak co, ale rodeo nie jest dla mięczaków. - W piłkę nie grałeś?

- Mama mi nie pozwoliła. Bała się, że zrobię sobie krzywdę.

- Rodeo miałoby być bezpieczniejsze? Nonsens! - Z tego, co wyczytała, Dan osiągał świetne wyniki. Potrafił wysiedzieć przepisową ilość sekund na byku, wygrywał w konkurencji powalania byczka za rogi i nie miał sobie równych w chwytaniu cielaka na łąso. Klamrę przy pasie, na którą wcześniej zwróciła uwagę, zdobył uczciwie. - Dlaczego nie przeszedłeś na zawodowstwo?

- Bez przesady. Jeszcze bym wylądował na wózku. - Popatrzył Rosebud w oczy. - A ty nigdy nie robiłaś nic szalonego?

- Dzisiejszy dzień się nie liczy?

- No, nie wiem. Jeszcze się nie skończył. - Oczy mu załśniły. - Przyjechałaś taki kawał drogi, żeby wygrzebać o mnie informacje? Gdybyś spytała, sam bym ci o wszystkim powiedział.

- Tak? - Przeszła do bardziej interesujących rzeczy: wyciągnęła ksero zdjęcia z kartoteki policyjnej. - No to opowiedz mi o swoim studenckim życiu.

- Boże, obym cię nigdy nie spotkał w sali sądowej!

- To nie plemię Lakotów chce wiedzieć, dlaczego na drugim roku zostałeś aresztowany. - Obróciła się, przyjmując wygodniejszą pozycję. - Tylko ja. Rosebud.

- Tak intymne pytania padają zwykle na trzeciej randce, a myśmy jeszcze na żadnej nie byli.

- Może teraz jesteście.

- Serio? - Uśmiechnął się szeroko.

Jego uśmiech sprawiał, że działy się z nią dziwne rzeczy. Serce biło szybciej, czuła klucie w żołądku...

- Czekam na odpowiedź. To jakie grzechy masz na sumieniu? Niszczenie mienia uczelnianego jakoś mi do ciebie nie pasuje.

Ponownie westchnął, tym razem ciężiej.

- A ty co robiłaś w college'u?

O nie, pomyślała. Nie zmieniaj tematu.

- Ja? Uczyłam się...

- Nie o to pytam. Po prostu... kiedy przyjęto mnie na studia, miałem po dziurki w nosie bycia synem Lewisa Armstronga, chłopcem z plakatu. Kochałem ojca, tęskniłem za nim, ale nie chciałem iść w jego ślady.

Zrozumiała, że z tym aresztowaniem chodziło o coś więcej niż sztubacki wybryk.

- Czyli?

- Co robi przysłowiowa córka pastora?

- Buntuje się. Im bardziej srogi pastor, tym bardziej zbuntowana córka.

- Zgadza się. A mój ojciec był wielkim hodowcą bydła, nafciarzem, myśliwym.

To dlatego na zdjęciu policyjnym Dan miał długie włosy, a na nosie okrągłe okulary, tak zwane lenonki.

- Więc ty zostałeś hipisem?

Wyraz lekkiego zawstydzenia na jego twarzy był niezwykle seksowny.

- Można by tak to nazwać. Wiedziałaś, że wegetarianie w ogóle nie jedzą steków?

- Nie żartuj! - zawołała, udając zdziwioną. Hipis... to by tłumaczyło jego zamiłowanie do muzyki rockowej. - Jak długo wytrzymałeś?

- Prawie dwa lata, ale jak tylko wróciłem do domu, od razu rzuciłem się na hamburgera. - Roześmiał się na samo wspomnienie. - Wszystkiego próbowałem. Trawka, karczidółka, marsze protestacyjne.

Tak, ale normalni hipisi raczej nie mieli skłonności destrukcyjnych, chyba że...

- Zadawałeś się z ekoterrorystami?

- To nie byli prawdziwi ekoterroryści. Ale tak, zaprzyjaźniłem się z paroma.

- Zauważyłam, że z każdym się zaprzyjaźniasz.

- O nie, nie z każdym - sprzeciwił się ostro. - Ale z większością rozsądnie myślących ludzi. Tamtego dnia, o który pytasz, po raz pierwszy i ostatni w życiu zrobiłem coś, czego później żałowałem.

Zatem nie żałował ich pocałunków, pomyślała z radością.

- Co się stało?

- Kiedy zjawiała się ochrona uczelniana, stałem z zapalkami przed płonącym pojemnikiem na śmieci. Z jakiegoś powodu nikt mi nie wierzył, że chciałem tylko zwrócić uwagę na ilość śmieci codziennie produkowanych przez nasz college.

- Podpalałeś pojemniki? - zdumiała się. - Co na to twoja matka?

- Najpierw płakała, potem oznajmiła, że nie pozwoli, abym hańbił nazwisko ojca i osobiście poprosi sędziego, żeby wsadził mnie za kratki i wyrzucił klucz od celi. Potem znów płakała. - Wzruszył ramionami. - Jeśli mnie pamięć nie myli, strasznie dużo było tego płaczu.

- Podoba mi się ta kobieta.

Roześmiał się cicho.

- Odbywając karę, która polegała na pucowaniu koszy na śmieci, i patrząc na zapłakaną matkę, zrozumiałem wiele rzeczy. Między innymi to, że dorosły facet nie powinien doprowadzać matki do łez.

- Zwłaszcza takiej matki.

Dan skinął głową. Cała rozmowa wydała się Rosebud dość surrealistyczna. Jako prawnik powinna węszyć, zbierać informacje, zapamiętywać wszystko, co mogłaby wykorzystać przeciwko Danowi, a zamiast tego prowadziła normalną pogawędkę.

- I co było później?

- Dojrzałem. I dołączyłem do rodzinnej firmy. Moi koledzy też dojrzeliby; kilku wstąpiło do ELF-u.

Zajrzała do notatek.

- Tej organizacji ekologicznej, której członkowie zniszczyli siedem waszych wież wiertniczych?

- Tak. Po drugim ataku, kiedy policja wciąż nie miała podejrzanych, sam zacząłem badać sprawę. Wszystkie ślady prowadziły do moich dawnych kumpli. Oczywiście wiedzieli, że wieże należą do firmy Armstrongów. Po prostu chcieli ukarać zdrajcę. Któregoś wieczoru przyłapałem ich na gorącym uczynku. Miałem przy sobie broń. Uznali, że w tej sytuacji lepiej iść na ugodę niż odstawiać dzielnych wojowników.

- Słusznie. - Ciekawa była, czy skorzystałby z broni, czy po prostu przekazałby ich policji. Wzdrygnęła się i wróciła pamięcią do tamtego dnia w dolinie: jak by się zach-

wał, gdyby wtedy miał przy sobie strzelbę? - I co wynegocjowaliście? Aha, skreć w najbliższy zjazd.

Zjazd prowadził do Bob's Roadhouse, długiego niskiego budynku, który wyglądał tak, jakby z jednej strony lekko zapadał się pod ziemię. Nad tablicą reklamującą występ na żywo zespołu Rapid City Rollers wisiał czerwony neon w kształcie steku. Połowę parkingu zajmowały motory, połowę ciężarówki. Pod ścianą jakaś para się całowała, a trochę dalej kiluosobowa grupa mężczyzn stała w kółku. Nagle Rosebud zorientowała się, że w środku tego kółka odbywa się walka na pięści.

I w tym momencie przypomniała sobie, dlaczego nigdy tu nie była. Co innego Tanner z Tomem; oni lubili takie miejsca, gdzie czasem wybuchały bójki, lubili bilard, głośną muzykę i nie zastanawiali się nad tym, co może przydarzyć się dwóm Lakotom w barze uczęszczanym przez białych. Nienawidziła, kiedy Tanner zjawiał się w domu ze zmasakrowaną twarzą i chwalił się, jak to on z Tomem pokazali tym „rasistowskim dupkom”, jak walczą indiańscy wojownicy. Na co dzień Tanner prowadził spokojne życie, nigdy się nie upijał, ale od czasu do czasu uwielbiał wdać się w bójkę.

Strasznie się na niego złościła. Ciągłe jej mówił, co może robić, a czego powinna się wystrzegać. Przepędzał wszystkich fajnych chłopców, którzy do niej przychodzili, bo uważał, że żaden nie jest dość dobry dla jego siostry. I to on namówił ją na studia. Zawsze też ostrzegał ją, by trzymała się z dala od takich miejsc jak Bob's Roadhouse. Obiecuj, prosił, kiedy opatrywała mu rany, że twoja noga nigdy tam nie postanie.

Miała ochotę go wtedy dusić. Bo co? - pytała zirytowana. Tylko tobie wolno robić durne rzeczy?

A on, potrząsając głową, powtarzał: Obiecuj, siostrzyczko. W owym czasie nie przypuszczała, że Tanner kiedyś nie będzie umiał wyplatać się z kłopotów. Sądziła, że zawsze ze wszystkim sobie poradzi. Aż do tamtego feralnego wieczoru.

Obiecuj... Czerwony neon już nie wyglądał tak zachęcająco, przypominał raczej plamę krwi.

Obiecuj... Lokal nie należał do bezpiecznych, a ona dała Tannerowi słowo...

Zerknęła na Dana. Chciała zaproponować, by pojechali jednak gdzieś indziej, ale wtem spostrzegła szeroki uśmiech na jego twarzy.

- Uwielbiam takie knajpy - oznajmił, patrząc z zachwytem na zaparkowane motory.
- Na pewno nie wolisz czegoś porządniejszego?
- Sobotni wieczór w typowym przydrożnym barze... - Pokręcił głową. - Super!

No to kicha! Mogła albo powiedzieć wprost, że się boi, a w dodatku nie zna żadnych innych lokali w mieście, albo wejść do środka i robić dobrą minę do złej gry.

Z trudem przełknęła ślinę. Przez moment nie pamiętała, o czym rozmawiali. A, tak. O ekoterrorystach.

- Więc czym się zakończyły wasze negocjacje?

- Przekupstwem - odrzekł Dan, odpinając pasy. - Kilku chłopaków, których nazwisk nie wymienię, figuruje na liście płac Armstrong Holdings.

Tego się nie spodziewała.

- Serio? Tak po prostu?

- Mają powiedziane, że jeśli ktokolwiek uszkodzi pompy, FBI natychmiast ich przyskrzyni. Tylko ja znam ich tożsamość.

Przez chwilę Rosebud nie odzywała się. Najwyraźniej umiał trzymać język za zębami.

- Czy naprawa mojego samochodu to też próba przekupstwa? W zamian mam milczenie, a najlepiej nie pokazywać ci się na oczy?

Dan, który sięgał do klamki, by otworzyć drzwi, zamarł na moment, po czym obrócił się do niej twarzą. W migającym czerwonym świetle nie była w stanie dojrzeć jego spojrzenia. Nagle wysunął rękę. Chwyciwszy Rosebud za szyję, przyciągnął ją do siebie. Stykali się czołami. Wiedziała, że zaraz ją pocałuje - po raz trzeci. A co potem?

- Nie chcę, żebyś milczała - szepnął ochryple, jakby leżeli w łóżku. - A już na pewno nie chcę, żebyś nie pokazywała mi się na oczy.

Drugą ręką pogładził ją po brodzie, szyi, ramieniu. Miała wrażenie, że płonie. Ale nie pocałował jej, nie próbował przytulić.

- Czego chcesz, Dan? - zapytała, zaciskając dłonie na jego policzkach.

Kłujący zarost działał na nią podniecająco. Powiedz mi prawdę, prosiła w myślach. Prawdę, w którą będę mogła uwierzyć.

- Chcę zjeść z tobą kolację, a jeśli okaże się, że Rollersi potrafią grać, to chcę z tobą zatańczyć.

- To wszystko?

- Nie. - Przytknął usta do jej czoła.

To się nie liczy, pomyślała. Obiecała sobie maksimum trzy pocałunki, jeszcze była w grze.

- Ale na razie to mi musi wystarczyć - dodał.

TLR

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jego uśmiech sprawił, że dostali cichy - choć to pojęcie względne - stolik z tyłu sali. Żeby słyszeć się nawzajem, musieli przekrzykiwać członków zespołu. Parkiet był zatłoczony. Dan sięgnął po kartę dań. Cieszył się, że Rosebud wybrała takie miejsce. Chciał jej pokazać, że bogaty nafcjarz w kapeluszu za tysiąc dolców potrafi być normalnym facetem.

- Minimum cztery drinki! - krzyknęła chuda kelnerka o jasnych tlenionych włosach, wskazując brodą na wiszący nad barem napis. - Co zamawiacie?

- Dla mnie krwisty stek - odkrzyknął Dan. - I piwo.

Popatrzył na Rosebud. Miała taką minę, jakby za moment zamierzała wstać i wyjść. Cholera, czym się jej naraził?

- A dla mnie średnio wysmażony, i cola.

- Minimum cztery drinki - powtórzyła kelnerka takim tonem, jakby rozmawiała z dzieckiem. - Raz, dwa, trzy...

- Umiem liczyć - warknęła Rosebud, odkładając kartę na stół.

Kobiety mierzyły się wzrokiem. Dan wręczył blondynce dwie dwudziestki i dziesiątkę.

- Przyszliśmy posłuchać zespołu.

Nie mógłby przysiąc, bo hałas był straszliwy, ale miał wrażenie, że Rosebud prychnęła. Kelnerka natomiast mrugnęła porozumiewawczo.

- Jasne, kotku.

O tak, tym razem usłyszał wyraźne prychnięcie.

- Domyślam się, że jesteś tu pierwszy raz?

Rosebud posłała mu ironiczny uśmiech, po chwili jednak wzięła się w garść i przestała zgrzytać zębami. Naprawdę się starała.

- Zgadłeś.

Z jej tonu wynikało, że lubi tego rodzaju knajpy i muzykę na równi ze skokami bez spadochronu. W takim razie dlaczego wybrała Bob's?

Rozejrzał się dookoła i nagle zauważył coś dziwnego: wszyscy patrzyli na Rosebud. Kobiety łypały na nią, jakby miała na piersi wielki czerwony napis „dziwka”. Faceci również zerkali w jej stronę. Wrogo. O co chodzi?

Wtem doznał olśnienia. Rosebud była jedyną Indianką w morzu białych twarzy. Przypomniawszy sobie, jak Naylor mówił o „dzikusach”, a także pogardliwy ton, jakim Cecil zwracał się do Thrashera. Teraz wszystko było jasne.

Powinni wyjść. Odsunął krzesło, lecz w tym momencie ujrzał, jak Rosebud unosi dumnie głowę. Nie czuła się tu dobrze, ale nie zamierzała uciekać. To nie w jej stylu. Dzielnie stawiała czoło Cecilowi, bywalcom Bob's Roadhouse też nie da satysfakcji. Opadł z powrotem na krzesło. Okej, skoro Rosebud chce tu zostać...

Kelnerka postawiła na stoliku piwo i colę. Dan podniósł butelkę do ust.

- Mogę? Nie przeszkadza ci? - zapytał.

Wzdychając cicho, przysunęła bliżej swoje krzesło.

Instynktownie otoczył ją ramieniem.

- Co o mnie wiesz, Dan? - Mówiła wprost do jego ucha.

- Trochę - odparł. W końcu od czego jest internet?

- Czyli wiesz o moich rodzicach?

Teraz, w takim miejscu, ona chce rozmawiać o rodzicach? W porządku. Trzymała głowę opartą o jego ramię. Miał się sprzeciwić? Zaczął szperać w pamięci.

- Zginęli w wypadku samochodowym, prawda?

- Ojciec był pijany, zresztą matka też. Wjechali w drzewo. Z akt policyjnych wynika, że panowały złe warunki na drodze, ale ja wiem, co się naprawdę stało.

Dan zawahał się.

- Tanner unikał alkoholu - rzekł z namysłem.

To był jeden z wysuwanych przez nią argumentów przeciwko samobójstwu. Tanner nie pił, zatem nie mógł być tak pijany, by strzelić sobie w głowę.

- To prawda.

- Ty też nie pijesz.

- Nie piję.

Dan niemal się zakrztusił. Zasada minimum czterech drinków wydała mu się nagle absurdalna. Wprawdzie miał ochotę na piwo, ale nie wyobrażał sobie, aby więcej niż po jednym mógł usiąść za kierownicą.

- Dokończę to, które napocząłem. Nie wyjdziemy, dopóki nie będę całkiem trzeźwy. Dobrze?

- Ale kelnerka...

O wilku mowa. Blondynka pochyliła się, ocierając się o niego biustem.

- Podać kolejne, kotku?

Następnym razem, obiecał sobie w duchu, zaprosi Rosebud na randkę do porządnej restauracji, cichej i schludnej. Wydawało mu się, że podczas ich pierwszego spotkania członkowie jej plemienia potraktowali go chłodno, ale jeśli tak odnoszą się do nich biali... W każdym razie nie dziwił się Lakotom.

- Nie, dziękuję. Ale chętnie postawię kolejkę muzykom. - Wyjął z kieszeni pieniądze. - Cztery piwa. Reszty nie trzeba.

Kelnerka chwyciła banknoty.

- Jak sobie życzysz, kotku.

- Jeśli jeszcze raz cię tak nazwie, wyrwę jej język - szepnęła Rosebud, kiedy znów zostali sami.

Nie sprawiała wrażenia, jakby żartowała. Czyżby była zazdrosna? Uśmiechnął się pod nosem.

- Nie warto brudzić sobie rąk.

- Często chodzisz do spelun i szastasz forszą?

- Nie. - Przysunął się, wdychając jej zapach. - Nie przesiaduję też w ekskluzywnych klubach, popijając martini. Nie mam na to czasu. I brakuje mi towarzystwa.

Rosebud pociągnęła łyk coli i ponownie oparła się o jego ramię.

- A Tiffany?

- Powinienem był to przewidzieć, prawda?

- Chyba tak.

Nie widział jej twarzy, ale ramiona jej drgały, jakby zanosila się śmiechem.

- Czy jak ci o niej opowiem, zakończysz przesłuchanie?

- Może. - Nieoczekiwanie objęła go w pasie i wsunęła rękę pod pasek jego spodni.

Tak bliski kontakt fizyczny natychmiast wywołał w nim pożądanie. Dan przesunął się, tak by blat stolika zasłonił ich oboje od pasa w dół.

- Dobra, co chcesz wiedzieć? - spytał.

- Doliczyłam się ze trzydziestu wzmianek o was, chyba więc na brak towarzystwa nie powinieneś narzekać?

Domyślił się, w czym rzecz. Usiłowała rozwikłać, czy należy do facetów, którzy rozkochują w sobie kobietę, a potem ją porzucają. Postanowił zagrać w otwarte karty.

- Tiffany to wspinała dziewczyna. Ostatni raz widziałem ją na jej ślubie. Ona i jej mąż mają dwoje uroczych dzieci.

- Dlaczego sam się z nią nie ożeniłeś?

Zesztywniał. Po co te wszystkie pytania? Jeszcze nigdy nie był na tak dziwnej randce.

- Bo nie szukam żony.

- A kogo? Czego chcesz, Dan?

Już raz go o to pytała. Żałował, że nie może zamówić drugiej butelki piwa.

- Posłuchaj. Z Tiffany chodziłem na bale dobroczynne. Ona rozumiała, że na pierwszym miejscu stawiam firmę.

- Byłaby idealną żoną.

- Nie szukam żony - powtórzył z naciskiem. Poza seksem i wyjściem na imprezę firmową nic go z Tiffany nie łączyło. Nie miał jej nic ciekawego do powiedzenia, ona jemu też nie. - Nie chcę dzielić życia z kobietą, która będzie mi gotowała obiady i ścieliła łóżko. Nie szukam służącej, tylko partnerki, kogoś, z kim mógłbym prowadzić dyskusje, kto wzbudzałby mój szacunek.

Kogoś takiego jak Rosebud, pomyślał nagle.

Mimo irytacji wywołanej pytaniami zreflektował się, że gładzi Rosebud po włosach, a ona nadal go obejmuje. Przyniósłszy steki, kelnerka popatrzyła na nią wrogo, ale Dana obdarzyła uśmiechem proporcjonalnym do hojnego napiwku, jaki dostała. I nawet nie skrzywiła się, kiedy poprosił ją o colę dla siebie.

Ależ był głodny! Na widok steku pociekła mu ślina.

- No a ty? - spytał między jednym kęsem a drugim. - Opowiesz mi o sobie?

Podobało mu się, że Rosebud ma apetyt. Zawsze go denerwowało, kiedy zapraszał kobietę na kolację, a ona zamawiała sałatę, którą w dodatku jadła przez godzinę.

- A co chcesz wiedzieć?

- Też trochę przeczytałem. - Uśmiechnął się. - Parę lat temu na zjeździe plemiennym zostałaś księżniczką.

Wzniosła oczy do nieba i machnęła lekceważąco ręką.

- Dołączono zdjęcie?

- Oczywiście. - Wyglądała na nim bardzo tradycyjnie: warkocze, bluza wyszywana koralikami. Zdecydowanie różniła się od jego księżniczki, tej na koniu, z rozpuszczonymi włosami. Obie jednak miały taki sam uśmiech. - Ale poza tym niewiele więcej wiem. - Tylko to, że szkołę średnią skończyła jako najlepsza uczennica i przez cztery lata studiów miała najwyższe oceny. Oraz że od dłuższego czasu toczy batalię prawną z Armstrong Holdings.

- Niektórzy z nas nie pchają się na afisz - rzekła, błyskając zębami w uśmiechu.

- Obecnie staram się unikać rozgłosu.

Popatrzyła gdzieś nad jego ramieniem. Obróciwszy się, zobaczył ich kelnerkę, która stała z kilkoma koleżankami i niemal wskazywała palcem w ich kierunku.

- Kiepsko ci to idzie - rzekła Rosebud z rozbawieniem.

- Powiedz mi... Hm, podoba ci się zawód prawnika?

- Jestem dobra w tym, co robię.

- Odpowiedź godna prawnika. Ale nie o to pytałem.

Uniosła brwi.

- Naprawdę jestem dobra. Kusiły mnie jednak studia artystyczne. Tkactwo, włókiennictwo. - Zniżyła wzrok. Mimo przyćmionego światła miał wrażenie, że zaczerwieniła się. - Lubię roboty ręczne, szycie pikowanych kołder z kawałków materiałów...

Patchworki? W pierwszej chwili to go zdziwiło, ale potem uznał, że taka metodyczna praca do niej pasuje.

- Podejrzewam, że w tym też jesteś dobra.

- Nie mam zbyt wiele czasu na przyjemności. Co innego mnie teraz pochłania.

- Nie, o tym dziś nie rozmawiamy. - Dokończył piwo.

Nie chciał, aby Cecil zepsuł im wieczór.

- W porządku. No co? - spytała, widząc, że Dan się jej przygląda.

- Nic. Zastanawiam się.

- Nad czym?

- Co robiłaś, kiedy nie było cię w rubrykach towarzyskich.

Wzruszyła ramionami.

- Opowiedziałem ci o Tiffany, teraz twoja kolej. Miałaś kiedykolwiek chłopaka?

- Kiedykolwiek? - Odsunęła talerz i ponownie się przytuliła. - Mówisz tak, jakbym była zakonnica.

- Jesteś piękną kobietą. - Otoczył ją ramieniem. - Faceci musieli się za tobą uga-
niać.

- No jasne.

- Może kilka konkretów?

Roześmiała się.

- Podczas studiów pracowałam w kawiarni. Szybko się przekonałam, że im czer-
wieńsza szminka na ustach, tym większe napiwki.

- Ale ja nie pytam o podryw. Pytam o związki.

Ponownie objęła go w pasie. Może czuła się tak bezpieczniej?

- Okej. Był taki jeden.

- Narzeczony?

- Nie, James i ja byliśmy... bliskimi przyjaciółmi.

Szczęściarz, pomyślał Dan. Miał nadzieję, że facet potrafił to docenić.

- James... to nie jest indiańskie imię.

- Nie. James pochodził ze starej waszyngtońskiej rodziny. - Ręka Rosebud leżąca
na udzie Dana leciutko wybijała palcami rytm. - Nikt o nas nie wiedział. On nigdy by
mnie nie zabrał do domu, żeby przedstawić rodzicom, a ja nigdy bym go nie zaprosiła do
rezerwatu. Po prostu.

Dan wstał i bez słowa poprowadził ją na parkiet. Nie wiedział, co ich łączy, ale
wiedział, że tym razem będzie inaczej. Bo Rosebud różni się od Tiffany. A on różni się

od Jamesa. Obejmując ją w talii, wmieszał się w gęsty tłum tancerzy. Przysunął usta do jej ucha.

- A my? - spytał.

- Co my? - Ocierali się o siebie policzkami.

- Co z nami? - Bał się odpowiedzi.

Nie wiedział, czego może oczekiwać.

Przez moment Rosebud milczała, po czym odsunęła się na tyle, by popatrzeć mu w twarz.

- My - oznajmiła cicho - to zupełnie co innego.

Przywarła ustami do jego warg. Nie był to lekki niewinny całus, który powoli staje się coraz bardziej intensywny. Nie, od pierwszej chwili był gorący i namiętny. Dana ogarnęło pożądanie. Ponieważ tańczyli mocno przytuleni, od razu to wyczuła. W odpowiedzi poruszyła zmysłowo biodrami, jakby chciała się w niego wtopić. Jakby chciała kochać się tu i teraz, na środku parkietu. Wsunął rękę pomiędzy ich ciała i potarł jej pierś. W odpowiedzi usłyszał niski pomruk.

Cholera, powinni wyjść. *Pronto*. Rosebud cofnęła się pół kroku.

- Trzeci pocałunek - szepnęła z zamkniętymi oczami i wolno oblizwała wargi.

- Trzeci? - powtórzył. Miał mętlik w głowie, ale to nie było ważne. Ważna była ona. - Spływamy?

Otworzyła oczy. Biło z nich pożądanie.

- Tak, chodźmy.

Trzymając się za rękę, wrócili do stolika.

- Poczekaś pięć sekund? - spytała na migi, wskazując na zegarek, a potem na drzwi toalety.

Zespół grał tak głośno, że nawet nie próbowała go przekrzyczeć.

Dan skinął głową. Pewnie, że poczeka. Nawet całą minutę, byleby się wkrótce stąd wynieśli i pojechali... Dokąd? Zastanawiał się, odprowadzając Rosebud wzrokiem. Do niej pewnie nie mogą, do niego też nie. Nie pamiętał, aby po opuszczeniu parkingu mijali jakiś hotel. Przednie siedzenie samochodu nie wchodziło w grę. Nie byli opętanymi sek-

sem nastolatkami. Zresztą Rosebud zasługiwała na jedwabną pościel i ogromną wannę z hydromasażem.

Najlepszy byłby jakiś neutralny teren. Przypomniały mu się mapy i rysunki, które oglądał dziś po południu. Hektary należące do Armstrongów, przepływająca środkiem doliny rzeka oraz nieduża chata mniej więcej dziesięć kilometrów od miejsca, gdzie miała powstać zaporą. Nie było tam dróg, elektryczności. Pewnie nie było też jedwabnej pościeli ani hydromasaży, za to wokół panowała cisza.

Dziś nie zdołają tam dotrzeć. Ale życie nie kończy się na dzisiejszym wieczorze. Miał nadzieję, że...

- Hej! - Ostatnim słowem piosenki Rollersów towarzyszył ostry krzyk. - Powiedziałam, żebyś... Dan! Ratunku!

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przeciskając się przez tłum, Rosebud doszła do damskiej toalety. Ktoś ją popchnął, lecz nie zwróciła na to uwagi. Trzy pocałunki, tyle sobie obiecała, a potem basta, koniec. Ale na żaden koniec nie miała ochoty. Miała ochotę na kontynuację. Chciała kochać się z Danem, ściągnąć z niego dżinsy i przekonać się, jak to będzie po trzech latach abstynencji.

Trzy pocałunki, trzy lata. Dlaczego w tym czasie nie brakowało jej seksu? Może dlatego, że z Jamesem nigdy nie czuła takiego napięcia erotycznego. W przeciwieństwie do innych białych mężczyzn, James nie traktował jej jak egzotycznej Indianki. I dobrze. Ale nie wodził też za nią zakochanym wzrokiem. Była jego kumpelą, a on jej kumplem. Przyjaźnili się, czasem chodzili z sobą do łóżka i to wszystko.

Natomiast Dan widział w niej kobietę. Prawniczkę, Indiankę, lecz przede wszystkim kobietę. W jego ramionach odżyła. Nie myślała o zaporach, o procesach sądowych, o zmarłych i obecnych członkach rodziny. Po prostu była, czuła, cieszyła się życiem.

Dlatego ignorowała pijane hałaśliwe towarzystwo, które mijiała w drodze do toalety. Nieważne, że bywalcy lokalu patrzyli na nią wrogo. Liczyło się tylko to, jak Dan na nią patrzy. Wreszcie weszła do toalety. W niedużym pomieszczeniu panował koszmarny ścisk. Kobiety w kusych spódnicach i gorsetach tłoczyły się przy lustrach, w powietrzu unosił się zapach lakieru do włosów, papierosów, tanich perfum i chemicznych odświeżaczy. Zanim jeszcze drzwi się zamknęły, zaległa cisza. Wszystkie pary oczu skierowały się na Rosebud.

Jej dobry nastrój prysł. Kelnerka, która obsługiwała ją i Dana, stała w rogu z pogardliwą miną. Ileż to razy stykała się z takim spojrzeniem! Pierwszy raz w gimnazjum. Emily postarała się, aby przyjęto ją do szkoły poza rezerwatem uczęszczanej przez białe dzieci. Wciąż pamiętała, jak ją traktowano. Całymi miesiącami nikt się do niej nie odzywał, za to ciągle plotkowano za jej plecami. Że kradnie innym torby, że bierze narkotyki, że sypia z nauczycielami, że zjada resztki ze śmietnika, że ma iloraz inteligencji psa.

Nie wiedziała, co robić. Miała dwanaście lat i nie potrafiła bić się jak Tanner. Posłuchała więc ciotki i nic nie mówiła, na nikogo nie patrzyła. Starła się jak najlepiej

uczyć. Kiedy pierwszy raz, chyba w lutym, odpowiedziała nauczycielowi na jakieś pytanie, ten zdumiał się, że Rosebud w ogóle zna angielski.

Od tego dnia wszystko się zmieniło. Nie awanturowała się, ale już nie była cichą myszką. Kiedy słyszała szept, reagowała. Mowa stała się jej orężem. Ale swoje „walki” toczyła w szkole, w miarę bezpiecznym środowisku. Tylko raz miała podbite oko, kiedy powiedziała jednej ze swoich dręczycielek, że jest głupia, bo nie wie, że chłopak zdradza ją z jej najlepszą przyjaciółką.

A teraz była w podłym barze, w stanie, który zezwalał na noszenie broni. I nie była tu mile widzianym gościem. Przełknęła ślinę. Z jednej strony chciała rzucić się do ucieczki, z drugiej jakoś zapanować nad sytuacją. Zapanować? Ha!

Tylko nie okazuj strachu, przykazała sobie, po czym dumnie wyprostowana ruszyła do jedynej wolnej kabiny. Niemal natychmiast ktoś z całej siły kopnął drzwi. Raz, potem drugi. Przycisnęła torebkę do piersi. Nastąpiło trzecie i czwarte kopnięcie. Rosebud zaparła się nogą.

Wychodząc, każda z obecnych w toalecie kobiet czuła się w obowiązku walnąć lub kopnąć drzwi. W tych warunkach siusianie było nie lada wyzwaniem. Wreszcie nastąpiła cisza. Rosebud wyteńczyła słuch. Na wszelki wypadek wyjęła z torebki długopis. Lepszy byłby pistolet, ale zostawiła go w domu. Nie wpuściliby jej z bronią do biblioteki uniwersyteckiej.

Przewiesiła torbę przez ramię i powoli otworzyła drzwi. Uff, pusto. Nawet chuda kelnerka znikła. Szybko umyła ręce, zastanawiając się, co dalej. Miała z siedem metrów do przejścia korytarzem, a potem z pięć metrów przez salę do Dana. Zapewne czekał na nią przy stoliku. Może się uda? Może nikt jej nie zauważy, kiedy będzie przeciskać się przez tłum?

Nikt? Akurat! Prawie wszyscy widzieli, jak szła do toalety. Nie boję się, powtórzyła kilka razy i wzięła trzy głębokie oddechy. Zaciśnęła rękę na długopisie, jakby to był nóż. Niech nikt nie waży się zastąpić jej drogi! W obronie własnej gotowa była atakować. Dwanaście metrów. Da radę.

Wyszła. Po pięciu metrach natknęła się na mur motocyklistów. Właściwie to był jeden motocyklista, ale stał w poprzek korytarza, zagradzając przejście.

- Cześć, Pocahontas. - Uśmiechnął się obleśnie.

Po pierwsze, nienawidziła rasistowskiego przezwiska „Pocahontas”; działało na nią jak płachta na byka. Po drugie, uderzył ją w nozdrza zapach cebuli i whisky. Kiedy usiłowała obejść faceta, chwycił ją za rękę, w której trzymała długopis.

- Założyłem się z kumplem, że ze mną zatańczysz.

Próbowała się oswobodzić. Bez skutku. Facet ciągnął ją na parkiet. Przynajmniej już nie byli sami. Rozejrzała się, szukając Dana. Gdzie on się, do cholery, podziewa?

- Przykro mi. - Siłąc się na uśmiech, starała się oderwać wielkie paluchy od swojej ręki. Dlaczego wszyscy motocykliści są tacy krzepcy? - Niestety przegrasz zakład.

- Jeden taniec, mała squaw. Widziałem, jak tańczysz z tamtym kowbojem. Gorszy jestem czy co?

„Squaw” nienawidziła chyba jeszcze bardziej niż „Pocahontas”.

- Puść mnie - rozkazała.

Miała nadzieję, że nie słyszał przerażenia w jej głosie.

- Zadzierasz nosa? Myślisz, że jesteś dla mnie za dobra? Ty, wszawa Indianica? - Przynal do niej twarz.

- Hej! - Tego już za wiele! Nie zamierzała się poddać bez walki. Zadowolona, że włożyła dziś solidne buty z cholewami, z całej siły kopnęła gościa w krocze. - Powiedziałam, żebyś...

Facet zaklął. Nie puścił jej, ale zgiął się wpół. Rosebud postanowiła powtórzyć kopniaka. Nie zdążyła. Ktoś szarpnął ją mocno za włosy.

- Dan! Ratunku!

Motocyklista osunął się na kolana, ciągnąc ją w dół. Za jej plecami wydarł się kobiecy głos. Towarzyszyło mu kolejne szarpnięcie za włosy.

- Ty zdziro! Coś ty zrobiła mojemu facetowi?

Rosebud zobaczyła gwiazdy przed oczami.

- Dan! - Czowała piekielny ból i piekielny strach.

Strach przeważał.

Trzecie szarpnięcie. Rany boskie, czyżby kelnerka chciała ją oskalpować? Tuż nad jej uchem rozległ się kobiecy głos:

- Ty dzikusko. Jak z tobą skończę, odechce ci się pokazywać tu swoją indiańską gębę.

Wtem Rosebud usłyszała trzask łamanych kości i przeraźliwy wrzask motocyklisty.

- Puść ją.

Dan był wściekły, bardziej niż wtedy, gdy do niego strzelała. Nareszcie! Facet puścił jej rękę, kobieta puściła jej włosy. Rosebud zaczęła się osuwać na podłogę. Zanim uderzyła o parkiet, Dan pochwycił ją w ramiona. Przełykając łzy, zobaczyła, że jej wybawca miażdży obcasem łapę motocyklisty. Prawą ręką podtrzymywał Rosebud w pasie, w lewej dzierzył nóż. Nóż? Skąd... No tak, nóż do steku.

- Kopnęła mnie w jaja! - jęknął z podłogi bandzior. - Moja ręka! - zapiszczał, gdy w odpowiedzi Dan zwiększył ucisk na jego łapsko.

- Nie chcę żadnych kłopotów - oznajmił Dan.

Mimo że mówił cicho, usłyszała go. Nagle zorientowała się dlaczego: zespół przestał grać, wszyscy milczeli. Raptem ciszę przerwał charakterystyczny odgłos przeladowywanej strzelby.

Zginą, przyszło Rosebud do głowy. Zginą, bo Dan zaprosił ją na randkę, a ona się zgodziła.

- Idziemy - szepnął, obejmując ją mocno.

Bała się spojrzeć w kierunku strzelby. Bała się spojrzeć na kogokolwiek, by nie zostało to potraktowane jako akt agresji. Nie odrywała oczu od ręki z nożem. Nóż do steków jest znacznie groźniejszy niż długopis, ale o wiele mniej skuteczny od broni palnej. Nie chciała umierać w tej spelunie. Stek nie był tego wart.

Wycofywali się w stronę drzwi. W stronę wolności.

- Ona pierwsza zaczęła! - wydarła się kelnerka.

Rosebud wystraszyła się, że zaraz wszyscy się na nich rzucą. Nawet nie mogła zaprotestować, że jest niewinna.

- Nieważne, kto zaczął. Teraz kończymy - oświadczył Dan.

Jakim cudem zachowywał spokój? Mówił takim tonem, jakby prowadził negocjacje, a przecież ich było dwoje, a tamtych dwie setki. Powoli zbliżali się do wyjścia. Gdzieś w głębi sali krzesło zaszurało o podłogę.

- Szykuj się - szepnął Dan.

Poczuła na szyi powiew świeżego powietrza. I nagle byli na dworze, a wszystkie wrogie twarze pozostały w środku. Dan wbił nóż w drewnianą balustradę.

- Pędem! Do samochodu!

Biegli ile sił w nogach, tak szybko, że nie słyszała nic poza własnym oddechem oraz łomotem serca. Nie wiedziała, czy ktoś ich goni, czy nie, ale nie zamierzała sprawdzać. Po paru sekundach wskoczyli do auta.

- Zsuń się! - rozkazał Dan, włączając silnik.

- Twoja strzelba... mogę? - Czowała przyływ adrenaliny.

Tak, chętnie pociągnie za spust. Pokaże im dzikuskę!

- Nie. - Samochód z piskiem opon opuścił parking. Dan poprawił lusterko, po czym skręcił w lewo. - Nie podnoś się.

Za nimi rozległ się potężny huk. Rosebud krzyknęła, kiedy samochodem zarzuciło w prawo. Dan dodał gazu.

- Okej, jesteśmy na autostradzie. Już nic nam nie grozi.

Usiłowała skinąć głową, coś zrobić, powiedzieć, ale przed oczami zaczęły się jej przesuwać obrazy z ostatnich kilku minut - łazienka, kopanie w drzwi, bandzior ze śmierdzącym oddechem, kelnerka szarpiąca ją za włosy. Podniosła dłoń do czoła; na palcach zobaczyła ślady krwi. Zrobiło jej się niedobrze.

- Zaraz zwymiotuję! - jęknęła.

- Spróbuj wytrzymać.

Dan przyśpieszył, po czym skręcił w prawo i po chwili stanął. Rosebud otworzyła drzwi. Wysiadła, zachwiała się, po czym opadła na kolana. Nagle poczuła, jak Dan odgarnia jej włosy z twarzy i masuje plecy. No, wspaniale. Ona puszcza pawia, a on patrzy i słucha. Okej, mogłoby być gorzej, mogliby nie żyć, ale... Miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Z tego wszystkiego znów zaczęła wymiotować. Kiedy skończyła, przysiadła na piętach. Dan, nie puszcżając jej włosów, kucnął obok.

- Lepiej?

Tak. Nie. Sama nie wiedziała. Dan przyglądał się jej badawczo. Nie potrafiła odwzajemnić jego spojrzenia. Nie była pewna, czy kiedykolwiek zdoła.

- Za moment wrócę - powiedział.

Usłyszała za sobą chrzęst. Po chwili Dan ponownie kucnął obok, podał jej butelkę wody i wilgotną ściereczkę. Wyplukła usta. Pomogło.

- Nie ruszaj się. - Przetarł jej twarz, obmył ranę. - Chyba nie jest najgorzej - oznajmił.

Ująwszy w palce jej brodę, obrócił ją w stronę światła reflektorów.

Strach, który dławił ją za gardło, szukał ujścia.

- Przepraszam. - Zaciskając powieki, próbowała powściągnąć łzy. - To moja wina.

Nie płakała przy ludziach. Zawsze czekała, aż będzie sama w domu. Tym razem wiedziała, że się nie uda.

- Zaraz się rozplacę... - I faktycznie, łzy trysnęły jej z oczu. - Ale niech to... niech to nie wpłynie negatywnie na twoją opinię o... o mnie.

- Nie wpłynie - zapewnił Dan.

- Moj... mój płacz nie ma związku z naszą... randką. - Mówiła histerycznie, zupełnie jakby strach, ból oraz ulga doprowadziły do nadmiernego przeciążenia. - To była sympatyczna randka. I właściwie to ja cię bardzo lubię - paplała. - Boże, gdybyś tylko nie nazywał się Armstrong. Gdybyś nie był spokrewniony z Cecilem...

Nagle zreflektowała się, że żwir już nie wbija się jej w kolana. Ściskając ją w ramionach, Dan szedł do samochodu. Tam usiadł, a ją posadził sobie na kolanach. Kołysał ją i gładząc po włosach, szeptał:

- Wiem, mała, wiem.

Powtarzał to raz po raz, jakby cały czas gadała. Usta faktycznie się jej nie zamykały, lecz nie miała najmniejszego pojęcia, co mówi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Masz być spokojny, jakby nic się nie stało, nakazał sobie Dan, kiedy w poniedziałek rano zbliżał się do siedziby plemienia Lakotów.

Co z tego, że ostatni raz widział Rosebud w nocy z soboty na niedzielę? Że nie pozwoliła mu odprowadzić się do drzwi? Że przez cały dzień nie odpowiadała na jego telefony? Że odchodził od zmysłów z niepokoju? Nikt poza nimi nie wiedział o zepsutym samochodzie i ich randce, która mogła się tragicznie skończyć, a on nie zamierzał wszystkim wkoło opowiadać, co się wydarzyło.

- Dzień dobry, panie Armstrong - powiedziała Judy, jak zwykle podając mu kubek kawy. - Panna Donnelly spóźni się kilka minut. Prosiła, żeby pana przeprosić.

Gdzieś na końcu długiego korytarza znajdował się gabinet Rosebud.

- Ale przysłała już do pracy?

- Oczywiście. - Stanąwszy w przejściu, jakby usiłowała zasłonić sobą widok, Judy wskazała mu drzwi do sali.

Dan wręczył dziewczynie upieczone przez Marię ciastka i zaczął krążyć wokół stołu. Jeśli Rosebud nie zjawi się w ciągu pięciu minut, wyjdzie i jej poszuka.

Sięgał do klamki, kiedy drzwi otworzyły się. Jego oczom ukazała się Judy z kolejnym pudłem dokumentów. Za nią stała Rosebud wpatrzona w coś, czego nie widział. Przypomniała mu się pierwsza wizyta, kiedy Joe White Thunder zachowywał się tak, jakby on, Dan, nie istniał. Rosebud miała nieduży plaster przyklejony do czoła, poza tym wyglądała jak zawsze: włosy zaplecione w warkocz i upięte, żakiet, niebieska koszula, okulary na nosie.

Tkwiła bez ruchu, dopóki Judy nie wyszła. Potem zamknęła drzwi. Dan z trudem się powstrzymał, by nie porwać jej w ramiona. Sprawiała wrażenie przybitej. W porządku, uznał, lepszy smutek niż histeria. Chociaż nie, tu nie chodziło o smutek. Patrzyła na niego, jakby byli dwojgiem obcych ludzi.

- Co ci jest? Dobrze się czujesz? - spytał.

- Tak - skłamała, przygryzając wargę. - Uderzyłam się głową w szafkę kuchenną.

- Rozumiem. - Bez protestu zaakceptował jej wersję. - Martwiłem się o ciebie. -
Zniżył głos do szeptu. - Dzwoniłem. Dwa razy.

Wzięła głęboki oddech i popatrzyła mu w oczy.

- Ciotka była w domu.

- Nawet nie wiesz, jak mi przykro. Powinienem był cię zabrać do lepszej restauracji. Powinienem był obsztorcować tę kelnerkę i odprowadzić cię do toalety, i poczekać za drzwiami. - Popęłił trzy błędy. Nie mógł sobie tego darować.

Poruszała się wolno, jakby doskwierał jej ból głowy.

- To nie była twoja wina. - Usiadła na swoim stałym miejscu. - To ja...

- O nie! - przerwał jej. - Ty nie jesteś niczemu winna.

- Oczywiście, że jestem. - Wyjęła z pudła teczkę i otworzyła ją, jakby omawiali sprawy związane z postępowaniem sądowym. Po chwili zacisnęła powieki i potrząsnęła głową, jakby mówienie przychodziło jej z trudem. - Ja... Powiedziałeś, że mi zapłacisz za czas, jaki poświęcam, siedząc tu z tobą. To nie będzie konieczne.

- A co z twoim samochodem?

- Nic. Gdybym musiała jechać poza rezerwat, Emily pożyczyci mi swój.

- Czyli całe życie zamierzasz spędzić w rezerwacie?

- Tu jest moje miejsce.

Zdenerwował się.

- Pozwolisz, żeby banda kretynów w barze dyktowała ci, co masz robić? Jak chcesz, kupię tę cholerną spelunę i zrównam ją z ziemią.

Rosebud uderzyła dłonią w stół.

- Nic nie rozumiesz. Nie chodzi o jeden bar. Po prostu tutejsi mieszkańcy tak nas traktują. W myśl zasady: dobry Indianin to martwy Indianin.

- Ja cię tak nie traktuję. Dobrze o tym wiesz.

Na moment odwróciła wzrok. Oczy jej lśniły.

- Nie? Porozmawiamy za trzy i pół tygodnia. Zobaczymy, jak wtedy będziesz się do mnie odnosił.

Niech szlag trafi Cecila! Dan często tak myślał, ale teraz naprawdę żałował, że to jego wuj. Tak jak Rosebud powiedziała: gdyby tylko nie nazywał się Armstrong i nie był spokrewniony z Cecilem!

- Nie interesuje mnie ta cholerna zapora. Nie o to w tym chodzi.

- A o co?

Przysunął bliżej chybotałe krzesło.

- O nas, Rosebud. O ciebie i o mnie. G to, że mi się podobasz, i że ja podobam się tobie. O to, że nie wolno się poddawać. Obiecałaś mi, że nie poddasz się bez walki. Dotrzymaj słowa.

Opuściła głowę. Jej policzki przybrały kolor czerwieni.

- Zjedz ze mną dziś kolację. - Chciał jej wynagrodzić tamten wieczór i przełamać jej zacięty upór.

- Bo inaczej?

Zbaraniał. Powiedziała to takim tonem, jakby trzymał topór nad jej głową.

- Bo inaczej będę zmuszony jeść sam.

Obróciła się na fotelu i sięgnęła po długopis. Dan czekał. Wywieranie presji nie ma sensu. Teraz wszystko zależało od niej.

- Nie mogę.

Lepsze „nie mogę” niż „nie chcę”, pomyślał.

- A gdybym znalazł jakieś neutralne miejsce?

- Neutralne? - Uniosła brwi.

- Nie możesz przyjechać do mnie na ranczo, nie chcesz gościć mnie u siebie. Lokalne bary odpadają... - Poglądził Rosebud po czole. Zaciśnęła powieki. Przestraszył się, że za moment wybuchnie płaczem. - Znam jedno ciche miejsce... - Marzył o tym, by ją pocałować. - Tylko tego chcę. Żebyśmy byli razem.

- Dlaczego uważasz, że za drugim razem będzie inaczej? - Zamrugła, jakby usiłowała pozbyć się łez, i odsunęła. - Albo za trzecim? Lub kiedykolwiek? Nie możemy się stale ukrywać.

- Nie ukrywam się. Ty też nie powinnaś.

- Nie mówiłeś wujowi o tym? - Wskazała na przyklejony do czoła bandaż. - O mnie?

- Nie. - Westchnął sfrustrowany. - Posłuchaj. To wyłącznie nasza sprawa: czy się widzimy, kiedy, i co robimy. Niech tak zostanie. Nie chcę, żebyś się martwiła, co sobie o nas pomyśli twoja ciotka, mój wuj czy jakiś kretyn w mieście. - Ponownie pogładził ją po policzku.

Odprężyła się i przycisnęła twarz do jego dłoni.

- Co to za ciche neutralne miejsce?

- Wiesz, gdzie jest potok Bonneau? - Chyba dobrze zapamiętał nazwę, skoro Rosebud skinęła głową. - Nie ma tam żadnych dróg, elektryczności. Jest tylko pusta chata.

- To ze dwadzieścia kilometrów stąd. Dziś nie dam rady.

- A najbliższy weekend? Spędzisz go ze mną?

Pytanie zawisło w powietrzu. Nagle Dan coś sobie uświadomił. Nie zaprosił Rosebud na kolację, na tańce, tylko na cały weekend. Powiedz „tak”, błagał ją w myślach. Ujął jej dłoń. Lekko drżała.

- Nikomu nic nie powiesz?

Serce zabiło mu mocniej.

- Nawet na łożu śmierci.

- Nie kuś losu. - Uśmiechnąwszy się, odepchnęła go, ale jej spojrzenie mówiło: „Tak. A teraz wracaj do pracy”.

Mimo że była z nim na najgorszej randce na świecie i mimo że nazywał się Armstrong, zgodziła się. Uradowany wyszczerzył zęby.

Do końca dnia, pomijając kilka minut, kiedy do pokoju zajrzała Emily, by zamienić słowo z Rosebud i podziękować Danowi za ciastka, pracowali w milczeniu. Nad stołem Rosebud zachowywała bezpieczny dystans, ale pod stołem trzymała stopę na jego udzie.

Do piątku jeszcze tak daleko!

Kiedy pięć dni później jechał konno w kierunku Bonneau, zdał sobie sprawę z niesamowitej ciszy, jaka go otacza. Nie zapadła nagle, lecz narastała stopniowo, a inne dźwięki wygasały. W pewnym momencie słyszał tylko końskie kopyta przygniatające

wysoką trawę; nic poza tym nie docierało do jego uszu, ani śpiew ptaków, ani bzyczenie owadów, ani nawet szum wiatru.

Raptem rozległ się trzask nadepniętej gałązki. Dan wyteżył słuch. Dźwięk się powtórzył; pochodził od strony ścieżki, na której dwa tygodnie temu po raz pierwszy ujrzał swoją indiańską księżniczkę.

W kapeluszu na głowie, w białej koszulce, dzinsach i kowbojkach wyłoniła się z cienia na światło słońca. Włosy miała luźno zaplecione w warkocz.

- Cześć. - Wychyliwszy się z siodła, Dan pocałował ją w usta. Miały smak raju. - Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, pomyślałem, że jesteś bardzo piękna. Ale teraz, w wersji współczesnej, podobasz mi się jeszcze bardziej.

Przygryzła wargę. Tamtego dnia to ona była w lesie i ona strzelała, ale jeszcze się do tego nie przyznała. Szkoda. Chciał, by wreszcie mieli to za sobą. Może teraz doczeka się odpowiedzi? Obrócił Smokeya w kierunku północnym. Stępem droga do chaty zajmie im około półtorej godziny.

- Jednego nie pojmuje - odezwała się. - Jeżeli myślisz, że to ja strzelałam do ciebie, co tu teraz ze mną robisz?

- Rosebud, nie myślę - odparł. Przyjeżdżał tu codziennie od tygodnia; Smokey świetnie znał drogę. - Jestem pewien.

- No to bądź.

Dan uśmiechnął się pod nosem: ależ jest uparta! Sądził, że po tym, jak ją uratował w barze, zasłużył na więcej zaufania. Z drugiej strony nie dziwił się jej ostrożności.

- Jak mawia moja mama: każdy ma jakiś powód.

- I uważasz, że osoba, która strzelała, musiała mieć jakiś powód?

Dan powiódł wzrokiem po dolinie, potem utkwiał spojrzenie w jadącej obok kobiecie. Kobieta i koń - ruchy mieli idealnie zgrane, harmonijne. Wpatrywał się w jej twarz. Siedziała prosto, trzymając swobodnie wodze. Była naturalna, do niczego się nie zmuszała. Tu było jej miejsce, nad brzegiem rzeki, na końskim grzbiecie, a nie w dusznym biurowym pomieszczeniu.

Każdy ma jakiś powód. Lub prawie każdy. Dan zmrużył z namysłem oczy. Przejrzał raporty policyjne z ostatnich siedmiu miesięcy dotyczące aktów wandalizmu na tere-

nie rezerwatu. Wyczytał w nich o poprzecinanych oponach i podrzucaniu mieszkańcom zakrwawionych zwierząt. Raporty czytał w sali konferencyjnej, pod okiem Rosebud, ale nie rozmawiali na ten temat.

- A te próby zastraszania? Pocięte opony, martwe zwierzęta?

Przez chwilę Rosebud milczała.

- To byłby powód, lecz osoba, która strzelała, na pewno nie próbowała cię zranić, a tym bardziej zabić. Próbowała cię jedynie wystraszyć. Popełniła błąd.

Ładny mi błąd, pomyślał. Przynajmniej jednak rozmawiają. Przynajmniej ona już się nie wypiera.

- Osoba, która strzelała, powinna poćwiczyć strzelanie do celu, bo omal nie dostałem zawału. Smokey też.

Jakby na potwierdzenie tych słów koń prychnął.

W oddali Dan ujrzał zakole rzeki. Jeszcze kilometr i będą na miejscu. Przyśpieszył. Korciło go, by spytać Rosebud o Shane'a Thrashera. Czy wie, co to za jeden? I czy tamtego dnia myślała, że do niego strzela? Z drugiej strony nastawiał się na to, że spędzi weekend ze swoją księżniczką. Tylko on i ona. Nie warto tego psuć.

- Przepraszam - odezwała się niespodziewanie. Słyszał, że głos jej drży. - Zwróć ci za nowy kapelusz. Jest bardzo ładny.

Popatrzył na nią zaskoczony. Tak kurczowo ścisnęła wodze, że kłykcie miała białe.

- Nie będzie powtórki, prawda? - zapytał.

- Nie. Przysięgam.

Odetchnął z ulgą; przynajmniej tę jedną sprawę mają z głowy. Wyciągnął rękę i pogładził Rosebud po ramieniu.

- Hej, wszystko już w porządku.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Może sądziła, że jedynie próbuje ją pocieszyć, a w głębi duszy skrywa urazę?

- Naprawdę. To tylko kapelusz - rzekł.

Ładnie się zachowała, proponując zwrot pieniędzy, ale nie miała na zbyciu tysiąca dolarów.

- Omal nie trafiłam cię w głowę.

W jej oczach dostrzegł łzy.

- Było, minęło i nie ma sensu do tego wracać, okej? Teraz cię znam i wiem, że nie chciałaś wyrządzić nikomu krzywdy. - Uniósł się w strzemionach, chcąc przysunąć się jeszcze bliżej. Smokey przystanął osłupiały. Pinto również. - Ufam ci.

Rosebud zaczerwieniła się. Chwyła Dana za koszulę. Ich twarze dzieliło z dziesięć centymetrów.

- Ja tobie nie powinnam - szepnęła, patrząc na niego kokieteryjnie, a jednocześnie jakoś nieporadnie - a jednak...

- A jednak?

- Też ci ufam. - Wychyliwszy się, musnęła go w policzek, po czym cofnęła rękę. - Najwyraźniej mam do ciebie dziwną słabość.

Opadł z powrotem na siodło. Zapowiada się wspaniały weekend.

- Ścigamy się? - Dał koniowi sygnał do galopu. - No, ślicznotko, pokaż, co potrafisz!

Tuż za sobą usłyszał głośny tętent kopyt. Weekend został oficjalnie rozpoczęty.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Słońce leniwie opadało za drzewami, gdy Rosebud z uczuciem niemal zapomnianej beztroski obserwowała, jak Dan rozpala ognisko. Przeprosiła go, a on jej wybaczył. Nie myślała o pracy, o zaporze. Właściwie nie miała wolnego dnia od zeszłych świąt. Cieszyła się, że ten weekend spędzi z...

O rany! Aż jęknęła w duchu. Dan ściągnął T-shirt i machał nim, próbując podsycić ogień. Dan w koszuli wyglądał fantastycznie, lecz z gołym torsem jeszcze tysiąc razy lepiej. Chyba zagwizdała, bo obejrzał się i wyszczerzył zęby w uśmiechu, od którego zakręciło się jej w głowie. Przymknęła na moment oczy. Czy naprawdę zgodziła się spędzić weekend z białym mężczyzną, w dodatku z Armstrongiem? Co innego pocałunki w tańcu, a co innego chata na odludziu... To szaleństwo. Rozum mówił jej, że nie powinna ufać Danowi, ale od jakiegoś czasu miała rozum w głębokim poważaniu.

Przez chwilę było jej żal, że tak wiele wspaniałych rzeczy ominęło ją w zeszłym tygodniu. Przytknęła palec do plastra na czole. Nie. Nie będzie o tym myślała. Tyle innych spraw zaprzętało jej teraz głowę. Na przykład widok Dana wracającego znad potoku z wiadrem wody dla koni. Jakież on ma pięknie umięśnione ciało!

Nie mogła oderwać od niego oczu. Szczotkował konie, wolno, starannie. Oczywiście wiedziała, że tak trzeba, że najpierw należy oporządzić zwierzęta, a dopiero później można zająć się sobą, ale bała się, że dużo dłużej nie wytrzyma. Była podniecona, a widok Dana jeszcze bardziej wzmagił jej pożądanie. W końcu najwyższym wysiłkiem woli oderwała od niego wzrok i wyciągnęła z torby paczkę prezerwatyw.

Rozejrzała się po chacie. Przy łóżku brakowało szafki nocnej. Samo łóżko było staromodne, na sprężynach, składane, za to pościel była świeża i zadziwiająco miękka. O wiele miększa od tej, którą miała w domu. Hm, ciekawe, czy łóżko bardzo skrzypi? Po chwili wahania położyła prezerwatywy na podłodze, w zasięgu ręki. Do procesu zostały trzy tygodnie. Zamierzała dobrze wykorzystać ten czas. Nie wiedziała, co będzie potem: czy Dan zostanie dłużej w Dakocie, czy wróci do Teksasu.

Wyprostowała się, słysząc, jak ściąga za drzwiami buty. Stała tyłem, bez ruchu; gdyby obróciła się, pewnie od razu rzuciłaby mu się na szyję.

- Ale jesteś pracowity

Objął ją w pasie i przytulił. Pachniał koźmi i dymem, czuła też nutę drzewa sandałowego. Na moment oderwał od niej rękę, ściągnął z głowy kapelusz i cisnął go na kołowy stolik, jedyny mebel poza łóżkiem, jaki znajdował się w chacie. Właściwie nie robiło jej różnicy, jak bardzo łóżko będzie skrzypiało.

- Pałac to to nie jest, ale jak ci się podoba? - szepnął nad jej uchem, a potem pocałował ją w szyję.

Wszystko się jej podobało, i chata, i mężczyzna, i to, co zamierzali tu robić.

- Bardzo.

- Przywiozłem kolację. - Łaskocząc jej ucho zarostem, objął ją jeszcze mocniej. Jedną rękę przyłożył do jej piersi, drugą zacisnął na biodrze i zaczął się kołysać w rytm muzyki, którą tylko on słyszał. Tańczyli wolno, a żar bijący z jego ciała przenikał ją na wskroś. - Jeśli jesteś głodna...

Nie gubiąc rytmu, obróciła się w jego ramionach. Patrzyli sobie w oczy. Miała wrażenie, że w powietrzu unosi się zapach oczekiwania, zapach seksu.

- Nie przyjechałam tu, żeby jeść.

- Ja też nie.

Tym razem nie czekał na pozwolenie. Zmiażdżył jej usta w pocałunku. Nie próbowała się dłużej powstrzymać. Odpięła mu pasek, on zdarł z niej bluzkę. Po chwili łóżko zaskrzypiało. Potwornie głośno.

Rosebud zaczęła chichotać. Gdziekolwiek indziej byłaby przerażona, że ktoś ich usłyszy, ale tutaj są bezpieczni. Uniosła biodra, by Danowi łatwiej było mu ją rozebrać. W ciągu paru sekund była naga.

Dan przejechał palcem od jej piersi do wzgórka łonowego. Usiadła i zaczęła rozpinąć mu dzinsy. Łóżko znów głośno zaprotestowało, a ona znów dostała ataku śmiechu. Nagle wystraszyła się: Boże, oby tylko Dan nie pomyślał, że śmieje się z niego.

- Wszystko w porządku - szepnął, sięgając pośpiesznie do tylnej kieszeni.

Wyciągnął opakowanie z prezerwatywą i rozerwał je zębami.

Ucieszyła się. Nie tylko ona zrobiła wcześniej zakupy; on też przyjechał przygotowany. Czy mógł jej się trafić bardziej idealny mężczyzna?

- Lubię hałasy podczas seksu.

- Tak? - Rzuciła spodnie Dana na podłogę. Teraz slipy... Był... hojnie obdarzony przez naturę. Wciągnął prezerwatywę. Łóżko zaskrzypiało. Przesunął się, zajmując pozycję między udami Rosebud.

- Może powinniśmy...

Nie! Nie mogła czekać dłużej. Zaciśnęła dłonie na jego policzkach i przyciągnęła go do siebie, a nogami oplotła w pasie. Wodziła rękami po jego ramionach, plecach; chciała zapamiętać każde ścięgno, każdy mięsień.

Na moment uniósł się, jakby niepewny, czy łóżko wytrzyma.

- Spokojnie...

- Nie chcę spokojnie. - Ponownie zarzuciła mu ręce na szyję. - Pragnę cię. Chodź. Teraz, błagam...

- Tego chcesz? - Wniknął w nią, a potem zaczął się wolno wysuwać.

- Nie... - zaprotestowała.

- Wolisz tak? - Wsunął się do końca.

Stykali się czołami. Ich oddechy się mieszały. W ramionach Dana czuła się bezpieczna. Tu nic jej nie zagrażało, nikt nie mógł jej skrzywdzić. W najśmielszych marzeniach nie sądziła, że będzie jej tak dobrze.

- Och, Dan...

Znów zaczął się wysuwać. Dlaczego? Na co czekał?

- Powiedz, czego chcesz - szepnął, dysząc ciężko, jakby dotarł na szczyt wysokiej góry.

- Tego co ty.

- Powiedz. - Poruszał się powoli.

- Głębiej! - szepnęła.

Posłuchał jej. Z jego gardła wydobył się pomruk wyrażający pożądanie, zadowolenie, satysfakcję. Była tak blisko, ale czuła, że od orgazmu dzieli ją mur, na który składały się trzy lata abstynencji. Dan musi go przebić. Wolnymi ruchami tego nie zrobi.

- Mocniej! Szybciej! - zawołała.

Jego ruchy nabrały przyśpieszenia. Już nie zwalniał, a ona z każdym pchnięciem wykrzykiwała jego imię.

- Długo... już... nie... dam... rady - wysapał.

Przytknął usta do jej warg i nagle mur runął. Rosebud krzyknęła, wstrząsana serią dreszczy. Dan wykonał jeszcze kilka pchnięć, po czym uniósł głowę i wydał z siebie jęk spełnienia. Chwilę potem opadł bez sił.

Leżeli, ona pod spodem, on na niej. Opuszkami palców gładziła go po plecach, rozkoszując się dotykiem.

- Rosebud... - mruknął przytłumionym głosem, całując ją po szyi. - Ja... ty...

Miała w głowie taki zamęt, że bała się otworzyć usta. Ale kiedy Dan zszedł do jej obojczyka, a potem do piersi, znów zaczęła chichotać.

- Rosebud? - Popatrzył na nią zdziwiony.

Łóżko zaskrzypiało.

- Nie, nie z ciebie się śmieję. Po prostu... O Boże, byłeś niesamowity. Czekalam... wiesz, od pierwszej chwili wtedy na koniu... To niewiarygodne, fantastyczne... Nie, nie to... ty... ty jesteś fantastyczny... - mówiła bez ładu i składu.

Przekręcił się na bok i oparłszy na łokciu, uśmiechnął szeroko.

- Bardzo ciekawe - oznajmił z rozbawieniem. - Innymi słowy podobało ci się?

- Mmm - mruknęła, ponownie zanosząc się śmiechem.

Dan opuścił nogi na podłogę. Pogładziła jego łopatki.

Ideał. No po prostu ideał.

- Na tyle, że moglibyśmy to za jakiś czas powtórzyć?

- Za niedługi czas.

Wybuchnął śmiechem i pomimo jękliwych protestów łóżka, obrócił się, zgarnął ją w ramiona i przeniósł na swoje kolana. Pokrywając pocałunkami jej czoło, policzki i powieki, spytał:

- Wytrzymasz pół godziny?

Powoli wracała do równowagi.

- Jeśli muszę...

Odpoczynek obojgu im się przyda. Będzie mogła się umyć, zrobić siusiu... Nagle zorientowała się, że w chacie nie ma łazienki. Widząc, jak Rosebud się rozgląda, Dan domyślił się, o co chodzi.

- Masz do wyboru: drzewo po lewej lub krzaczek po prawej.

- Krzaczek - oznajmiła z uśmiechem.

Z doświadczenia wiedziała, że krzaki zapewniają odrobinę więcej prywatności.

Zanim się ubrała, Dan kucnął już przy ognisku. Na ziemi leżał miękki koc, obok stały stare pieńki, na których również można było usiąść. Kolacja składała się z pysznych kawałków kurczaka oraz świeżych bułeczek. Na deser Dan wyjął paczkę pianek do smażenia, paczkę herbatników oraz czekoladę owiniętą w złotą folię.

- Robimy kanapeczki na ciepło?

- No pewnie, to tradycyjne biwakowe danie - odparł, podając jej patyk. Słońce już zaszło. Jedynym źródłem światła był księżyc w pierwszej kwadrze oraz buzujące płomienie. - Chyba nawet prawo nakazuje, aby przy ognisku każdy usmażył choć jedną piankę i zjadł ją z herbatnikiem oraz kawałkiem czekolady.

Usiadł na pieńku. W blasku ognia wyglądał bardziej jak chłopiec z plakatu reklamującego Armstrong Holdings niż jak dorosły mężczyzna zarządzający firmą.

- W takim razie poproszę piankę. Prawa nie wolno łamać.

Spaliła trzy kolejne. Kręcąc głową, Dan podał jej gotową kanapkę.

- Trzymaj, bo spalisz wszystkie. Co ja mam z tobą zrobić?

- Dobrze pytanie.

- Jaka skupiona mina.

- Przepraszam. - Roześmiała się. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam wolny dzień. Po prostu trudno mi wyłączyć myślenie.

Dan przygotował kolejny patyk. Przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, wpatrując się w ogień, po czym wstał i obrócił się do niej twarzą.

- Rosebud...

Powiedział jej imię z taką powagą, że się wystraszyła. Chyba nie zamierzał prosić jej o rękę?

- A gdyby nie doszło do zalania? Gdyby nie było zbiornika retencyjnego?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Co? - Poderwała się na nogi. - O czym ty mówisz?

Błąd, pomyślał. Nie powinien mieszać spraw zawodowych z prywatnymi, zwłaszcza że prywatne zaczęły się układać.

- Za kilka tygodni ściągnę tu fachowca. Inżyniera.

Zamarła i zmrużywszy oczy, utkwiała w nim spojrzenie.

- Przeglądałem plany - ciągnął. - Myślę, że możemy zbudować zaporę bez zalewania terenu rezerwatu.

Wciągnęła z sykiem powietrze. Miała ochotę chwycić Dana za kłapy i mocno nim potrząsnąć.

- Że co możemy?

- Elektrownia przepływowa nie wymaga tworzenia zalewów - zaczął tłumaczyć jej to, czego dowiedział się u Naylora.

- Nie rozumiem. Mówisz, że...

Krążyła przejęta wokół ogniska. To oddalała się od płomieni i na moment znikwała w mroku, to wracała w ich złocisty blask. Jedną rękę przyciskała do serca, drugą gestykulowała. Pragnął jej. Pół godziny już dawno minęło. Nie mógł się doczekać, aby znów się z nią kochać.

- Na razie niczego nie mogę obiecać - ciągnął. - Muszę najpierw przywieźć tu Jimmy'ego. Ale sam pomysł wydaje mi się realny.

Przyciągnął ją do siebie. Była ciepła, miękka, pachnąca. Idealnie przylegała.

- I nie byłoby zalewu?

Czuł, jak jej serce łomocze. Potrząsnął głową.

- Firmie inżynieryjno-konsultingowej, którą Cecil wynajął, wierzę tak samo jak jemu. Oni wszyscy muszą mieć jakiś ukryty cel, ale jeszcze nie wiem jaki.

- Dan, mówisz poważnie? Nie byłoby zapory?

- Tego nie mówię. Powiedziałem, że może nie trzeba zalewać terenu rezerwatu. Posłuchaj. - Zacisnął dłonie na jej policzkach. - Tu wszystkim zarządza Cecil, ale firma

również należy do mnie. Włożyliśmy w to masę pieniędzy. Nie stać mnie na to, żeby teraz zrezygnować z budowy.

Niemal widział, jak tryby obracają się w jej głowie. W jego również się obracały, i to coraz szybciej. Czeką go wiele trudnych zadań, choćby przejęcie kontroli najpierw nad projektem, a potem nad całą firmą oraz pozbycie się Cecila. Ostatnich kilka tygodni spędził w towarzystwie Rosebud; kiedy nie była w zasięgu jego wzroku, to była obecna w jego myślach. Nie wyobrażał sobie, aby mogło być inaczej.

Otworzyła usta, zamierzając coś powiedzieć, ale jedynym dźwiękiem, jaki wydobył się z jej gardła, był radosny pisk. Niewiele kobiet uznałoby informację o braku sztucznego jeziora za grę wstępną. Ale Rosebud, o czym zdążył się już przekonać, była osobą wyjątkową. Zacisnął wokół niej ramiona i pocałował ją w usta. Potarła biodrami o jego biodra.

- Podoba mi się taka reakcja - stwierdził.

Tym razem jej usta miały smak czekolady. Oblizując wargi, pogładziła Dana po jego zaroście. O tak, pół godziny zdecydowanie już minęło. Przytulił Rosebud do siebie, po chwili ściągnął z niej bluzkę, ale nie wykonał kroku w stronę chaty. Przeklęte łóżko zbyt skrzypiało.

- Marzyłam o tym - szepnęła Rosebud, popychając go w stronę koca.

Poczuł na plecach chłodne nocne powietrze. A co lepiej rozgrzewa niż seks? Z tylnej kieszeni wyciągnął kolejną prezerwatywę. Palce Rosebud śmigwały, rozpinając guziki jego spodni.

- Marzyłaś?

- Mmm, po pierwszym pocałunku... marzyłam... że ty i ja nad rzeką.

Pchnęła go na ziemię. Kiedy leżał nagi, zwolniła tempo. Powoli, patrząc mu w oczy, zaczęła ściągać dzinsy, centymetr po centymetrze. Następnie rozplotła warkocz; kaskada włosów opadła jej na plecy. Wyprostowała dumnie ramiona; nie była jedną z tych zakompleksionych kobiet, które każą gasić światło albo owijają się prześcieradłem. Była dumną indiańską księżniczką.

Czekał bez słowa, podziwiając wspaniały spektakl, który rozgrywał się przed jego oczami. Kiedy pochyliła się nad nim, piersiami ocierając o jego twarz, zamruczał z roz-

koszy. Uwielbiał się z nią kochać; jej nieskrępowane okrzyki doprowadzały go na skraj orgazmu.

- Tak jest dobrze? - spytał, bo chciał, aby ona czuła równie wielką rozkosz.

- O tak. - Usiadła na nim i potrząsnęła głową. Jej włosy okryły ich niczym jedwabista zasłona. - Bardzo dobrze...

Zaczęła unosić się i opadać. Dan zacisnął usta na jej piersi, a ręce na talii. Każdy ruch jego języka, każde otarcie brodawką o jego szorstkie policzki sprawiało, że mruzczała coraz głośniej. Po chwili noc rozbrzmiewała krzykiem. Dan długo nie wytrzymał. Chwytał Rosebud za biodra. Brał ją coraz szybciej, coraz mocniej, a ona coraz głośniej krzyczała, przenosząc go w miejsce, które mogło być tylko rajem. Nigdy nie przeżył tak silnego orgazmu.

Potem padli na koc i leżeli przytuleni, ona z nosem wciśniętym w jego obojczyk. Z jej ust wydobywał się cichy dźwięk, ni to skomlenie, ni to świergot.

- Wiem - szepnął Dan. - Ja też.

Nie chciał jej puścić, ale teraz, gdy już się nie ruszali, chłodne powietrze zaczynało dawać się we znaki. Wstali. On zajął się ogniskiem, Rosebud pobiegła do chaty. Kiedy zasypywał piaskiem ogień, ona ściągnęła materac na podłogę i urządziła im wygodne ciche posłanie.

- O, jak cudownie. - Zmęczony wsunął się pod kołdrę.

Tiffany nigdy nie spędziła z nim całej nocy. Nie chciała. Budzenie się razem oznaczałoby zgodę na trwały związek, powiedziała mu kiedyś, a on zupełnie się do tego nie nadawał. Miała rację. To było wtedy. A teraz?

Rosebud przytuliła się do jego boku, zresztą nie miała wyboru, materac był dość wąski, i przerzuciła nogę nad jego udami. Ta plątanina nóg, rąk i oddechów wydała mu się czymś najbardziej trwałym, czego w życiu doświadczył.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - mruknęła lennie.

- Jakie?

- Spytałeś: co ja mam z tobą zrobić?

- Hm... - Splótł palce z jej palcami. Wiedział, że za moment zasną, ale nie chciał zostawiać pytania bez odpowiedzi. - Tak sobie myślę, że chyba cię zatrzymam.

W niedzielę również dużo myślał. Wiele razy w życiu jeździł na biwak, ale jeszcze żaden nie sprawił mu tak dużej radości. Może dlatego, że Rosebud pociągały te same rzeczy co jego: przejażdżka konno po śniadaniu, pływanie nago po południu, przytulanie się przy ognisku wieczorem. Może dlatego, że o świcie kochali się leniwie, a w nocy uprawiali szalony seks. Może dlatego, że ona nie umiała smażyć pianek - ciągle je przypalała. Tak czy inaczej ledwo ruszyli w drogę powrotną, już zaczął obmyślać plany na następny weekend.

- Powinniśmy wracać inną drogą - zauważył, kiedy dojechali do miejsca, gdzie Bonneau wpadało w Dakotę.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - Ugryzł się w język, zanim dodał: mogę być śledzony.

- Dan, dlaczego? - powtórzyła.

- Wiesz, kim jest Shane Thrasher? - Nie chciał jej okłamywać.

- Nie - odparła. - Kim?

- Szefem ochrony Cecila. Pół-Krukiem.

Wciągnęła z sykiem powietrze.

- I on, ten Thrasher, śledzi nas? Ciebie? Mnie?

- Jeśli, to mnie. Ale nie widziałem żadnych śladów, więc jestem pewien, że nie odkrył naszej kryjówki. - Przed każdym wyjazdem na przejażdżkę i po każdym powrocie dokładnie sprawdzał teren wokół chaty. Ani razu nic nie znalazł, żadnych niedopałków, odcisków w ziemi. - Po prostu wolę być ostrożny.

Jechali w ciszy. Kilkaset metrów dalej koryto rzeki było nieco szersze. Dan skierował Smokeya do wody.

- Boję się - szepnęła Rosebud. Popatrzył na nią zdziwiony.

- Tu jest płytko. Dwa razy przekraczałem tędy rzekę. Nawet nie zamoczysz butów.

- Nie o to mi chodzi. - Obejrzała się za siebie. - A jeśli...

- Nikt nas nie widział. I nie zobaczy - obiecał Dan. - Nie pozwolę, aby stała ci się najmniejsza krzywda.

Uśmiechnęła się, ale widać było, że mu nie dowierza.

- Przysięgam. Jeśli ktokolwiek krzywo na ciebie spojrzy, sam go zastrzelę.

Rosebud ponownie powiodła dookoła wzrokiem. Nic nie mąciło spokoju. Po jaką cholereę wspominał o Thrasherze?

- Dziękuję, ale to nie będzie konieczne - rzekła, kiedy wyszli na drugi brzeg. - Potrafię się o siebie zatroszczyć.

Zmartwił go jej urzędowy ton.

- Wybierzesz się tu ze mną w następny weekend?

Podniosła głowę, jakby tam, w chmurach, szukała odpowiedzi.

- Nie powinnam - odparła, po czym westchnęła cicho. - Jeśli wyruszymy w sobotę przed świtem, nikt nie będzie wiedział, gdzie jesteśmy.

- Skarbie, mogę ruszyć choćby w środku nocy, byleby pobyć z tobą sam na sam.

Obróciwszy się w siodle, posłała mu spojrzenie, w którym tęsknota mieszała się z żalem. Ale nic nie powiedziała. Spięła konia i odjechała galopem. Ruszył za nią w pościg.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Gdzie spędziłeś weekend? - Cecil wyglądał tak, jakby od zeszłego czwartku nie ruszył się z miejsca.

Dan zjeżył się. Przez moment czuł się jak nastolatek, który dostaje burę za późny powrót do domu.

- W terenie - odparł.

Nie zamierzał się wujowi tłumaczyć, ale jego mrukliwa odpowiedź sprawiła, że Cecil podniósł z zaciekawieniem głowę.

- Sam?

- Pojechałem na południe sprawdzić kilka rzeczy. - Z tego, co się Dan orientował, teren na południu porastały krzaki. Stał tam również zapomniany nadajnik telefonii komórkowej. To wszystko. Miejsce idealne dla Thrashera: może go pożre jakiś kojot.

Cecil zmrużył oczy. Starał się przybrać ciepły przyjazny wyraz twarzy.

- Jak ci idzie z tą Donnelly?

Dan prędzej odgryzłby sobie ramię, niż zdradził wujowi cokolwiek na temat Rosebud.

- Nie wiem, czego się spodziewasz - odrzekł. - Owszem, to bardzo atrakcyjna kobieta, ale nie daje sobie wcisnąć kitu. Stanowczo odmówiła, kiedy chciałem ją ponownie zaprosić na kolację. Za pierwszym razem musiała coś wywęszyć i teraz trzyma mnie na dystans. Traktuje, jakbym był powietrzem.

- Niedobrze - burknął Cecil. Pochyliwszy się, przekręcił stronę w kalendarzu i z namysłem podrapał się po brodzie. - Zostały niecałe trzy tygodnie do procesu. Nie poddawaj się, synu. Nawet najtwardszy orzech można zmiażdżyć.

Dan z trudem zachował spokój.

- Powiedz, Cecil, dlaczego nie możemy zbudować mniejszej zapory? Bez zbiornika retencyjnego?

- Czy masz pojęcie, ile pieniędzy już w ten projekt wpakowaliśmy?

- Nie my. Ty.

Przez chwilę na twarzy starszego mężczyzny malowało się zdziwienie. Ale szybko zastąpił je wyraz pogardy.

- Nie mów mi, że dałeś się przekonać tej kobiecie! Na miłość boską, to wariatka. Powinno się ją zamknąć! Przez nią nasza firma straciła miliony dolarów!

- Wydaje mi się, że nie przez nią, tylko przez ciebie. Zamierzam sprowadzić tu swoich ludzi, inżyniera, księgowych, kontrolerów. Przejrzemy wszystkie twoje księgi rachunkowe.

Na twarzy Cecila znów pojawiło się zdziwienie, ale tym razem towarzyszył mu niepokój.

- Po jaką cholere cię tu ściągnąłem? Powinienem był wiedzieć, że jesteś mięczak. Nie nadajesz się do biznesu, tak jak twoja matka. - Głos Cecila drżał.

Obaj zdawali sobie sprawę, że Dan zapędził wuja w kozi róg.

- Nie omieszkam powtórzyć matce twoich słów. Zawsze pyta, co u ciebie. A zarząd, jak wiesz, liczy się z jej zdaniem.

- Możesz mnie straszyć, ile chcesz. Za trzy tygodnie ruszamy z budową - oznajmił Cecil.

Mniej więcej tyle czasu Dan potrzebował, aby skompletować zespół najlepszych fachowców. Ludzie ci na razie byli zajęci innymi sprawami. Nie mogli wszystkiego rzuścić i z dnia na dzień pojawić się w Dakocie. Potrzebował też czasu, by odkryć, co Cecil knuje. Bez dowodów, że prowadzi nielegalne interesy, zarząd nie będzie miał podstaw go wyrzucić.

Obróciwszy się na pięcie, Dan skierował się do swojego pokoju. Jak pozbyć się z firmy Cecila? Dowody... Gdzie je zdobyć?

I nagle wpadł na pomysł. Maria!

Zszedł do kuchni. Kobieta, nucąc, przygotowywała *tamales*. Wprawdzie tego dnia, kiedy zaprosił Rosebud na kolację, nie znalazł tu podsłuchów, ale wolał nie ryzykować. Pod pretekstem, że chce sprawdzić ciśnienie w oponach, wyciągnął Marię na dwór.

- Mario, dla kogo pracujesz? Dla mnie czy dla Cecila? - zapytał, pochylając się nad przednim kołem.

- Dla *señora* Cecila - odparła po dłuższej chwili. - Ale chętnie pracowałabym dla pana. - Mówiła tak cicho, że ledwo ją słyszał. - Pan, *señor*, jest lepszym człowiekiem.

- W takim razie zatrudniam cię. - Dan przeszedł do drugiego koła. - Szukam czegoś, Mario. Zamykanej na kluczyk skrzynki, którą Cecil trzyma w gabinecie.

- Nie wolno mi tam wchodzić, *señor*. - Podreptała za Danem do trzeciego koła. - Jak ona wygląda, ta skrzynka?

- Jest drewniana i stara. Zamykana na mały srebrny kluczyk. - Schylił się do czwartego koła. - W środku jest teczka, na której Cecil napisał coś czerwonym długopisem.

- Nie widziałam jej. - Maria wyprostowała się. - Dziękuję za sprawdzenie ciśnienia w oponach - rzekła i dodała szeptem: - Rozejrzę się.

- Przekaż Eduardowi, że koło z przodu trzeba dopompować - powiedział, kiedy wracali do domu.

Liczba pracowników oddziału Armstrong Holdings w Dakocie Południowej właśnie powiększyła się o jedną osobę.

- Kochanie? - Emily siedziała w fotelu, trzymając przed sobą patchworkową kołdrę. - Gdzieś ty się podziewała?

- Jeździłam po dolinie - odparła ogólnikowo Rosebud. Mieszkała z ciotką tak długo, że właściwie nie miały przed sobą tajemnic. - Chciałam odpocząć.

Emily zerknęła na jej plecak, po czym bez słowa wróciła do szycia. Nie sprawiała wrażenia przekonanej. Trudno, pomyślała Rosebud. Jako nastolatka przejmowała się wymownym milczeniem ciotki, lecz już z tego wyrosła. Nie musi się przed nikim tłumaczyć - to jedna z zalet bycia dorosłą.

Postawiła plecak w kącie i zrobiła sobie kanapkę z masłem orzechowym. Była głodna, niewiele jadła w ciągu tych dwóch dni, bo jedzenie nie było ważne. Słyszając burczenie w brzuchu, uśmiechnęła się. Mm, Dan...

Kiedy szukała w lodówce jabłka, głos Emily przerwał jej rozmyślenia:

- Udało ci się wyciągnąć coś z młodego Armstronga? Włosy zjeżyły się Rosebud na karku. Nim się spostrzegła, przystąpiła do ataku.

- A co miałabym wyciągnąć? - warknęła, zamykając z hukiem drzwi lodówki. - Facet nie zna się na zaporach, a Cecil mu się nie zwierza.

Wszystko było prawdą trzy tygodnie temu. A teraz? Teraz zaszły zmiany. Okłamywała ciotkę. Po raz pierwszy w życiu. Najgorsze było to, że obie miały tego świadomość.

- Nie zna się. - Emily z kamienną miną powtórzyła kłamstwo, które przed chwilą usłyszała.

Rosebud ogarnęły wyrzuty sumienia. Przez ułamek sekundy kusiło ją, aby powiedzieć ciotce, że może nie dojdzie do zalania rezerwatu. Wykonała, co do niej należało: sprawiła, by Dan spojrzał na problem jej oczami. Ciotka na pewno byłaby z niej dumna. Tyle że w tym momencie zaporą zeszła na dalszy plan. No, prawie.

- Nie zna - potwierdziła, patrząc Emily w oczy.

Kolejne kłamstwo łatwiej przeszło jej przez gardło.

Ratowała samą siebie. Może romans z Danem wkrótce się zakończy. Może za trzy tygodnie Dan wróci do Teksasu. A może zostanie dłużej, by popatrzeć, jak rezerwat znikną pod wodą. Nie chciała, by ludzie myśleli, że straciła dla faceta - Armstronga! - głowę i zatopiła całe plemię.

Z drugiej strony może wszystko się dobrze ułoży. Szansa istnieje. Musieli jednak działać ostrożnie. Jeżeli Cecil czegokolwiek się domyśli, cała wina spadnie na nią, Rosebud.

Emily długo mierzyła ją wzrokiem, wreszcie westchnęła ciężko.

- Miej się na baczności, kochanie. Ciarki przebiegły Rosebud po plecach.

- Na baczności? Czy bywam lekkomyślna? - Nagle przypomniała sobie wyraz twarzy Dana, gdy powiedział, że następnym razem powinni jechać do chaty inną trasą.

Emily roześmiała się cicho. Przynajmniej już nie toczyła pojedynku na spojrzenia.

- Nie zapominaj, kim on jest. Kim ty jesteś. I kogo reprezentujesz.

Właśnie na jeden cudowny weekend udało się Rosebud o tym zapomnieć. Przez dwa dni nie myślała o Armstrong Holdings i swoim plemienu. Przez dwa dni nic jej nie ciążyło. Po raz pierwszy od dawna... od śmierci Tannera... przez dwa wspaniałe beztrojskie dni czuła się szczęśliwa. I tego pragnęła: żeby znów byli zwykłym Danem i Rosebud, a nie prawniczką i przedstawicielem Armstrong Holdings.

- Wiem, co robię - wykrztusiła.

Nie było to jednak tożsame z tym, co powinna robić. Ale miała już dość życia według narzuconych reguł, słuchania innych, ignorowania własnych potrzeb. Choć raz chciała spełnić swoje marzenia.

Emily potrząsnęła głową. Sprawiała wrażenie zawiedzionej. Trudno, pomyślała Rosebud, z całej siły hamując się, by nie trzasnąć drzwiami do swojego pokoju. Wiedziała, co robi. Następny weekend również zamierzała spędzić z Danem w chacie.

TLR

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Siedziała po drugiej stronie stołu, wpatrując się w Dana. Wiedziała, że on wie, że ona na niego patrzy, bo przekazując jej strony z oficjalnymi biogramami, cały czas się uśmiechał.

- I jeszcze główny inżynier, Jim Evans. Przyjadą za dwa tygodnie, dzień po procesie. Jim może nawet wcześniej, ale tego nie gwarantuję.

Na myśl, że Dan naprawdę sprowadza zespół fachowców, poczuła niewysłowioną ulgę. Wcześniej bała się, że może ją zwodzi, ale najwyraźniej był człowiekiem honorowym i dotrzymywał obietnic.

- Zamieszkają u was na ranczu?

- Nie sędzę, żeby Cecil się zgodził - odparł Dan.

Nagle jego spojrzenie pociemniało, tak jak wtedy gdy pytał ją, czy zna Thrashera. Przekręciwszy kartkę w notesie, zaczął pisać.

On cię nie lubi. Charakter pisma miał paskudny. Z trudem go przeczytała. Ale wiadomość jej nie zdziwiła.

Ciotka Emily też za tobą nie przepada, odpisała.

Dan westchnął, jakby żałował, że nie udało mu się zdobyć sympatii starszej Indianki.

Nienawidzę ukrywania się, knucia.

Ja też. Nie wiem, jak temu zaradzić.

Podniosła wzrok znad kartki. W jego oczach dojrzała coś znacznie bardziej intensywnego od pożądania. Przeszły ją ciarki.

Pracuję nad tym. Bądź ostrożna.

Będę, obiecała.

Bądź ostrożna. Łatwo powiedzieć. Z ciotką prawie nie rozmawiały, atmosfera w domu była napięta. Napięcie towarzyszyło Rosebud także w biurze. Biedna Judy oczywiście była pewna, że to jej wina.

Codziennie widywała się z Danem w pracy i z każdym dniem coraz trudniej było jej utrzymać ręce przy sobie. Lecz oboje wiedzieli, że jakikolwiek kontakt fizyczny jest zabroniony: ktoś mógłby ich zauważyć.

Pozostawały jej marzenia i fantazje. Wyobrażała sobie, jak zdziera z Dana ubranie, a potem kochają się na stole konferencyjnym, nawet na chybotliwym krześle. Z tego napięcia, z niemożności dania upustu pragnieniom, ciągle bolał ją brzuch.

Kolejne dwa weekendy również spędziła z Danem w chacie na odludziu. Jechali inną drogą, długą i krętą. Na szczęście, gdy docierali na miejsce, nie musieli już być ostrożni.

Sądziła, że seks nie może być lepszy niż podczas pierwszego weekendu, ale Dan udowodnił jej, jak bardzo się myli. Najpierw doprowadził ją do orgazmu swoją brodą - nie golił się od tygodnia. Pocierał piersi Rosebud, jej brzuch i uda, a ona tak głośno krzyczała z rozkoszy, że aż straciła głos. Potem obrócił ją tyłem do siebie i wsunął rękę między jej uda, odszukał jej łechtaczkę. Rosebud, wstrząsana orgazmem, straciła Dana z materaca na podłogę. Nawet się nie zezłościł, po prostu zgarnął ją w ramiona i przytulił z całej siły. Po trzecim orgazmie szepnął:

- Chyba się w tobie zakochałem. - Pocałunkami osuszył jej łzy.

- Ja w tobie chyba też - przyznała, choć słowo „chyba” było zbędne.

- Rosebud i Dan - powiedział z powagą, a zarazem z radością w głosie. Z zewnątrz doleciało ich cykanie świerszczy. - Tylko tego pragnę.

- Ja też - odrzekła.

Ale oboje wiedzieli, że to nie takie proste.

- Dan przyjdzie? - spytała Judy, nastawiwszy kawę.

Rosebud starała się zachować neutralny wyraz twarzy, choć wiedziała, że to bez sensu. Trudno jej było utrzymać związek z Danem w tajemnicy. Oczywiście pilnowali się przy ludziach i nikt im niczego nie mógł udowodnić, ale wszyscy widzieli, ile czasu spędzają razem w sali konferencyjnej.

- Nie mam pojęcia - odparła niezbyt przekonująco. - Chyba nie będę mogła poświęcić mu dziś chwili... Jutro czeka mnie sprawa w sądzie. Ale daj znać, jak się pojawi.

- Jasne. - Judy puściła do niej oko.

Jutro był ten wielki dzień. Kolejna bitwa do stoczenia. Wszystko już zapieła na ostatni guzik. Niczego nie zostawiła przypadkowi. Jeżeli sąd nakaze wstrzymanie prac przy zaporze, wówczas Dan przypuszczalnie zdoła przejąć kontrolę nad projektem. Tak twierdził. Rosebud marzyła o tym, by powiedzieć komuś o ich planach, ale im mniej osób je znało, tym większa szansa na sukces.

Przeglądała dokumenty. Zwykle o tej porze Dan już był na miejscu. Nie przejmowała się jego nieobecnością; uprzedził, że ma sporo pracy - w weekend przyjeżdżała jego ekipa fachowców.

- Przyszedł? - spytała, nie przerywając czytania, kiedy o wpół do jedenastej Judy zajrzała do gabinetu.

- Nie... Boże...

Poderwała głowę, słysząc przerażenie w głosie sekretarki. Judy była blada jak ściana, jakby za chwilę miała zemdleć.

Musiało się wydarzyć coś złego.

- Przyszedł Cecil Armstrong.

Rosebud oniemiała. Ten drań ma czelność się tu pokazywać? Czego, do cholery, chce? I gdzie jest Dan? Spokojnie, przykazała sobie w duchu; nie panikuj.

- Czego chce?

- Widzieć się z tobą. Nie przyszedł sam.

- Podał nazwisko tego drugiego?

- Shane Thrasher. Facet... - Judy nie potrafiła opanować zdenerwowania - ma broń. W kaburze pod pachą. Wiem, bo oglądam seriale kryminalne.

- Cholera... Dobra, bez paniki - przykazała Rosebud. Serce biło jej jak oszalałe. - Możesz im podać kawę?

Judy milczała; była bliska łez.

- Zresztą nieważne. Sprowadź Joego. Niech pozbędzie się stąd tego cyngla. Okej?

- Okej.

Judy rzuciła się do telefonu. Rosebud również - do komórkowego.

- Odbierz - szepnęła, wybrawszy numer Dana.

Po pierwszym dzwonku odezwała się poczta głosowa.

- Cześć, to ja - zaczęła się nagrywać. - Shane Thrasher i twój wuj siedzą u mnie w konferencyjnej. Gdzie jesteś, Dan? Gdybyś mógł... - Co? Zwołać kawalerię i przybyć na ratunek? - Gdybyś mógł dać mi znać, co się dzieje, byłabym wdzięczna. Ko... - Urwała. Mówienie „kocham cię” w takiej chwili nie ma sensu. Musi być silna. - Czekam na wiadomość.

Zmusiła się, aby przygotować się do spotkania. Włosy zaplecione? Zaplecione. Usta umalowane? Umalowane. Dokumenty? Są. Ze zdenerwowania było jej niedobrze.

Cecil Armstrong po raz pierwszy w życiu złożył jej wizytę. W dodatku niezapowiedzianą. Może przyszedł zawrzeć pokój? A może chce się poddać. Miło by było.

- Rosie? - Joe White Thunder wsunął głowę do jej pokoju. - Co się stało?

- Dzięki Bogu, że jesteś! W sali konferencyjnej czeka Cecil Armstrong ze swoim szefem ochrony, niejakim Shane'em Thrasherem, który podobno ma przy sobie broń. Każ mu ją wynieść.

Przez chwilę Joe milczał, wyraźnie zszokowany, po czym skinął głową.

- Zajmę się nim - oznajmił tonem wojownika.

W ciągu sekundy odmłodniał o dwadzieścia lat.

Rosebud zawahała się. Nie chciała wchodzić do sali konferencyjnej, nie wiedząc, gdzie się Dan podziewa. Ale zdawała sobie sprawę, że im dłużej będzie zwlekać, tym bardziej będzie się denerwować.

- Dasz radę, Rosie - szepnął jej do ucha Joe.

Biorąc głęboki oddech, otworzyła drzwi. Witaj w piekle, pomyślała.

Cecil Armstrong stał przy przewróconym krześle, a jego towarzysz siedział na podłodze. Widok ten podziałał na Rosebud uspokajająco.

Armstrong niby wyglądał tak jak na zdjęciach, które widziała w internecie, ale na żywo był bardziej... pokurczony. Cerę miał ziemistą, jakby nigdy nie wychodził na słońce. Zawsze myślała o nim jak o dwumetrowej przeszkodzie, którą musi pokonać, okazało się jednak, że facet jest zasuszonym starcem o głowę niższym od Dana. Nie miał nad nią żadnej władzy. Nie bała się go; zamierzała trzymać się planu, jaki obmyślili z Danem. To, że Dana nie było przy niej, nie miało znaczenia. Na pewno wypadło mu coś ważnego.

- Pan Armstrong? Co za niespodzianka. - Ucieszyła się, że głos jej nie drży. - I... pan Thrasher, tak?

Thrasher zmierzył ją chłodnym spojrzeniem i wykrzywił ironicznie wargi. Armstrong natomiast uśmiechnął się szeroko, ale ten uśmiech był podstępny.

- Panna Donnelly, nareszcie się spotykamy - rzekł, łypiąc z pogardą na Joego. - Przyszedłem tu w sprawach zawodowych. Chciałbym z panią porozmawiać. Wyłącznie z panią - dodał.

Czyli on może przyprowadzić swojego goryla, a ona ma wyprosić Joego? Niedoczekanie twoje, pomyślała.

- Panie Thrasher, do naszego biura nie wolno wносить broni palnej. Pan White Thunder odprowadzi pana do samochodu. Proszę zamknąć broń w bagażniku.

Thrasher ponownie wykrzywił wargi, po czym uniósł ręce w geście rezygnacji.

- Oczywiście. Szefie, nie będę panu potrzebny? - spytał Armstronga.

Ten ponownie się uśmiechnął. Rosebud gotowa była przysiąc, że starzec ma kilka rzędów zębów. Jak rekin.

- Chyba dam sobie radę. Dziękuję.

Rosebud przestąpiła z nogi na nogę. Ciekawa była, czemu zawdzięcza tę wizytę.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Armstrong? - zapytała, gdy Joe z Thrasherem opuścili salę.

Mężczyzna otworzył teczkę, z której wyjął dużą brązową kopertę.

- Panno Donnelly, ma pani świadomość, że pani sztuczki prawne sporo kosztują moją firmę?

- Panie Armstrong, ma pan świadomość, że pańska zaporą pozbawi moje plemie domu?

- Przykro mi - rzekł Armstrong takim tonem, jakby mówił o padlinie na poboczu drogi.

Rosebud wzdrygnęła się. Facet wzbudzał w niej obrzydzenie.

Armstrong popukał palcem w kopertę.

- Chciałbym jednak oficjalnie, po raz ostatni, prosić panią, aby zrezygnowała z procesu.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparła.

Gdzie, do licha, był Dan?

Armstrong zmrużył oczy, jakby chciał się jej dokładniej przyjrzeć.

- Dan wspominał, że niezła z pani laska, ale słowo „niezła” jest nieadekwatne.

Nie boję się drania, powtarzała w myślach. Poradzę sobie z nim. Muszę.

- Dziękuję.

Armstrong ponownie wyszczerzył kły.

- Mam coś, co panią zacieka. - Przesunął w jej stronę kopertę.

Instynktownie wiedziała, że cokolwiek tam jest, ona nie chce tego oglądać. Ale w jej głowie musiało nastąpić jakieś zwanie, bo nagle zobaczyła, jak wyciąga ręce po kopertę. Nie otwieraj! - krzyknął wewnętrzny głos, lecz jej ręce podniosły kopertę i wyjęły z niej plik fotografii.

Zdjęcia przedstawiały ją, Rosebud. Nagą. Z Danem. Poczula, jak ból rozsada jej czaszkę. Przez moment miała wrażenie, że znów jest w barze i ktoś usiłuje ją oskalpować. Odruchowo podniosła rękę do skroni, potem przysunęła do oczu. Nie, nie było śladu krwi.

- Niektóre ujęcia są doskonałe, prawda? - ciągnął Armstrong. - Jest pani bardzo fotogeniczna. Nie myślała pani o karierze modelki?

Ból przybierał na sile, nie potrafiła jednak odłożyć zdjęć. Patrzyła na siebie przed ogniskiem: zdejmuje dżinsy, ściąga Danowi spodnie, siedzi okrakiem na Danie. Dan rozchyła jej nogi, przywiera ustami do jej piersi, wchodzi w nią.

- To moje ulubione. - Głos Armstronga docierał jakby z daleka. - Aż żałuję, że nie jestem młodszy. Chętnie bym sobie z panią pobrykał.

Zrobiło jej się słabo. Miała ochotę wrzeszczeć, kopać, przeklinać, ale nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Zaczęła liczyć. Trzynaście. Trzynaście zdjęć.

- W środku jest również pendrive z filmem. Może sobie go pani obejrzeć na komputerze.

Przechyliła kopertę. Nie tylko zrobiono jej zdjęcia, także ją sfilmowano. Była największą idiotką na świecie. Jak mogła zaufać białemu mężczyźnie, w dodatku Armstrongowi? Uwierzyła Danowi, gdy powiedział, że będzie ją chronił, że nie pozwoli, aby

stała się jej krzywda, gdy zapewniał ją, że w chacie są bezpieczni. Kłamał. A teraz nawet nie odbiera telefonu. Nie wiedziała, gdzie jest. Może wrócił już do Teksasu? Może obściskuje się z Tiffany? Może ona, Rosebud, nic dla niego nie znaczy? Może była jedynie środkiem prowadzącym do celu?

- Czego pan chce? - zapytała.

Głos starca wciąż docierał z daleka, ale wyszczerzone kły były blisko jej twarzy.

- To proste, panno Donnelly. Chcę, żeby zaprzestała pani wszelkich działań prawnych wobec Armstrong Holdings. Powiem też, czego nie chcę. Otóż nie chcę widzieć pani jutro w sądzie. - Mówił wszystko takim tonem, jakby rozmawiali o pogodzie. - Jeżeli się pani pojawi, film trafi do sieci.

Czuła się tak, jakby oskalpował ją żywcem, jakby pozbawił ją duszy. Została oszukana, okradziona. Odebrano jej nadzieję, złudzenia, dom, życie.

Ponownie zaczęła wertować zdjęcia. Na większości z nich twarz Dana, wtulona w jej piersi, była niewidoczna, natomiast ona na każdym ujęciu była rozpoznawalna. Wszyscy dowiedzą się o jej zdradzie.

- Niech się pani zastanowi. Ma pani czas do jutra. A zdjęcia proszę zatrzymać. To odbitki. - Zamknął teczkę. - Miło mi było panią poznać, panno Donnelly. Bardzo miło.

Wychodząc, pogładził ją po ramieniu. Drzwi się zamknęły.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Mario? - Dan zajrzał do kuchni. Obok zlewu studziły się babeczki, które miał zabrać do biura Rosebud. - Nie wiesz, dokąd Cecil pojechał?

Kobieta rozejrzała się, jakby coś ją niepokoiło.

- Nie. Wiem tylko, że wyszedł bardzo wcześnie.

- Hm... - Był czwartek. Cecil rzadko opuszczał swoje królestwo, ale jeśli już, to w soboty. Dziwne. - Dziękuję, Mario.

Skierowawszy się do drzwi, Dan wyciągnął telefon. Powinien zadzwonić do Rosebud i...

- *Señor* Armstrong? Ja...

W głosie Marii dawało się wyczuć zdenerwowanie. Odwrócił się. Kobieta miętosiła fartuch.

- Tak, Mario? - spytał najspokojniej, jak potrafił.

- Coś znalazłam.

Ogarnęło go podniecenie. Maria znalazła skrzynkę. Schował pośpiesznie telefon do kieszeni.

- Gdzie? W domu?

- *Si*. Niech pan idzie ze mną.

Poprowadziła go do piwnicy. Tam podeszła do niedużych metalowych drzwi w ścianie. Bez słowa otworzyła je i wyjęła torbę na śmieci przykrytą cienką warstwą czarnego pyłu.

Zsyp na węgiel. Nawet nie miał pojęcia, że coś takiego tu istnieje. Otworzył torbę. Jego oczom ukazała się skrzynka o wymiarach sześćdziesiąt centymetrów na dwadzieścia pięć na osiem. Wyglądała jak stara skrytka depozytowa. Serce zabiło mu szybciej. Nie był pewien, co jest w środku, ale podejrzewał, że coś ważnego: coś, co skompromituje Cecila i uratuje rezerwat.

- Kiedy to znalazłaś, Mario?

- Dwa dni temu - odparła szeptem, mimo że nikt ich nie mógł słyszeć.

Pomieszczenie śmierdziało starą cebulą i zgniłymi kartoflami.

- Ale jak wpadłaś, żeby szukać w takim miejscu?

Na twarzy Marii odmalowała się duma.

- Nie było tej skrzynki tam, gdzie sprzątam, więc zaczęłam szukać tam, gdzie nie sprzątam.

Dan miał ochotę uściskać kobietę.

- A kluczyk? - spytał, choć kluczyk nie był tak ważny. Skrzynkę można rozwalić młotem, rozciąć piłą.

- *Si*. Pan pójdzie ze mną.

Mimo panujących w piwnicy ciemności był pewien, że Maria uśmiechnęła się szeroko.

Wrócili na górę, Dan ściskając skrzynkę na piersi. W salonie Maria wspięła się na palce i sięgnąwszy za wypchany łeb bizona, wyciągnęła mały srebrny kluczyk.

- Pasuje. Sprawdzałam.

- Mario, ubóstwiam cię! - zawołał, a ona zaczerwieniła się jak niewinna panienka. - Masz u mnie pracę do końca życia. Tylko nikomu o tym nie mów. Nikomu.

- *Si, señor*.

Niemal biegiem udał się do swojego pokoju. Na wszelki wypadek przysunął starą komodę do drzwi, po czym usiadł na łóżku i otworzył skrzynkę.

Pierwsza teczka zawierała szczegółowe plany położonego nad wodą ośrodka wypoczynkowego. Wielkie pole golfowe, tereny jezdzieckie oraz luksusowy hotel nad brzegiem jeszcze nie istniejącego jeziora Dakota. Było nawet kasyno, ponieważ część ośrodka znajdowała się na niewielkiej pozostałości indiańskiego rezerwatu.

A więc o to chodzi. Dan siedział oszołomiony. Wiele spodziewał się po Cecilu, ale nie sądził, że wuj chce się zabawić w dewelopera. Oczywiście zamierzał sfinansować budowę zapory i sztucznego jeziora z pieniędzy Armstrong Holdings, lecz ośrodek należałby do niego.

Po paru minutach Dan odłożył na bok teczkę z planami ośrodka - był przekonany, że zawarte w niej materiały wystarczą, aby Cecilia usunięto z firmy - i sięgnął po kolejną. Zobaczył długą listę nazwisk, przy niektórych widniały daty. Nic z tego nie rozumiał; nazwiska nic mu nie mówiły. Potem zobaczył drugą listę, na której obok nazwisk poja-

wiały się sumy: setki tysięcy dolarów. Na trzeciej liście figurowały zajmowane stanowiska.

Royce Manyard, sędzia główny, \$250.000,00; 12.04.10.

Cholera jasna. Cecil przekupywał urzędników państwowych.

Drżącą ręką Dan zaczął przerzucać zawartość skrzynki. Otworzył teczkę zatytułowaną „Indianie”. Już po chwili zobaczył znajome nazwiska.

Rosebud Donnelly. Nazwisko podkreślone, obok data. Joe White Thunder i Emily Mankiller: podkreślenia i daty. Przy żadnym nazwisku nie widniała informacja o przekazanych pieniądzach. Na spodzie teczki Dan dostrzegł kopertę z nazwiskiem Tannera Donnelly'ego datowaną trzy lata temu. W środku znajdowały się blaszki identyfikacyjne.

Zacisnął powieki. Nie chciał nic więcej oglądać. Nie by nie wierzył w wersję Rosebud o morderstwie, ale wcześniej przynajmniej teoretycznie istniała możliwość, że Cecil nie posunął się do morderstwa. Niestety, Dan trzymał w ręku dowody jego winy.

Chciał powiedzieć komuś o swoim odkryciu. W pierwszym odruchu pomyślał o Rosebud, ale... Nie, to nie jest dobry pomysł.

Powinien skontaktować się z policją. Jak się nazywał tamten gość? Tom Yellow coś? Wyciągnął z portfela wizytówkę. Yellow Bird.

Włączył telefon. Jedno nieodebrane połączenie, od Rosebud. Pewnie zastanawia się, co się z nim dzieje. Spojrzał na zegarek. Cholera, późno. Zaraz do niej pojedzie, ale najpierw... Wstukawszy numer Yellow Birda, zaczął chować papiery do skrzynki.

- Yellow Bird - mruknął niski głos na drugim końcu linii.

- Mówi Dan Armstrong. - Dan zamknął skrzynkę.

Nie mógł pozwolić, by cokolwiek z niej zginęło, by Cecil zniszczył dowody.

- W jakim charakterze pan dzwoni? Oficjalnym?

- Znalazłem coś, czego pan szukał. Muszę przekazać to właściwej osobie. - Jak ten człowiek ma nazwisko? Podszedłszy do biurka, Dan sprawdził pośpiesznie w notesie.

- Wie pan, kim jest James Carlson?

- Żarty pan sobie stroi? - spytał cicho Yellow Bird. - Oczywiście, że wiem. Co pan znalazł?

- Wolałbym rozmawiać z Carlsonem.

- W porządku. Proszę czekać na wiadomość za jakieś dwadzieścia minut.

Świetnie, pomyślał Dan, chowając telefon do kieszeni. Skrzynkę owinał w poszewkę. W ciągu dwudziestu minut powinien dotrzeć do biura Rosebud. Rzucił się do wyjścia; nawet nie zabrał z kuchni babeczek.

Miał asa w rękawie. Chciał go jej pokazać.

Widok Judy uzmysłowił mu, że coś jest nie tak: sekretarka płakała. Kiedy podniosła głowę i zobaczyła go w drzwiach, aż się wzdrygnęła. A potem takim tonem, jakby zabił stado nowo narodzonych fok, spytała:

- Co pan tu robi?

Włosy zjeżyły mu się na karku. Co do licha?

- Zastałem Rosebud?

- Nie ma jej - syknęła z nienawiścią i zaczęła się cofać, jakby się bała, że wyrządzi jej krzywdę.

- Co się stało? - spytał, siląc się na spokój.

- Co się stało? - Patrzyła na niego, jakby postradał rozum. - To, że godzinę temu zjawił się tu pana wuj z niejakim Shane'em Thrasherem. To, że Joe odprowadził Thrashera do samochodu, bo facet miał spluwę. To, że wuj wyszedł stąd pięć minut później, uśmiechając się, jakby wygrał los na loterii. A dziesięć minut po nim Rosebud wyszła z gabinetu blada jak kreda, ledwo trzymając się na nogach. A pana tu nie było. Ot, co się stało!

- Cecil z Thrasherem? Tutaj? - Nie mieściło się to Danowi w głowie. Po co Cecil miałby tu przyjeżdżać, w dodatku dzień przed rozprawą w sądzie?

- Niech pan nie udaje. Wiedział pan o ich wizycie, dlatego sam pan się dziś nie pojawił. Cholera, powinnam była ostrzec Rosebud przed panem. Zresztą ostrzegłam. Prosiłam, żeby miała się na baczności. Ale czy mnie posłuchała? Nie. Pozwoliła panu przychodzić, przynosić nam ciasteczka... - Na moment zamilkła, ale cisza trwała zbyt krótko, aby zdążył cokolwiek powiedzieć. - A pan... Pan ją skrzywdził. To wszystko pana wina.

Mówiła tak, jakby oszukał Rosebud, wystawił ją na niebezpieczeństwo. Winiła go tylko dlatego, że nazywał się Armstrong.

- Judy, przecież mnie pani zna. Nie skrzywdziłbym nikogo z was. - Chociaż nie była uzbrojona, uniósł ręce. - Dokąd pojechała?

- Nic nie powiem. Niech się pan wynosi! - Rzuciła w niego dzbankiem do kawy.

Dan wymknął się, zanim dzbanek się roztrzaskał.

Opuszczając parking, uznał, że pojedzie do domu Rosebud. Był tam tylko raz, po bójce w barze. W świetle dziennym wszystko wyglądało inaczej; miał nadzieję, że trafi. Próbował do niej zadzwonić, ale odpowiadała poczta głosowa. Nie było sensu się nagrywać; w ciągu pół minuty nie zdoła nic wyjaśnić.

Zastanawiał się, co takiego Cecil zrobił, z drugiej strony wolał nie wiedzieć, bo na pewno nie było to nic przyjemnego. Facet nie tylko dawał łapówki urzędnikom państwowym, ale kazał zgładzić Tannera. Jeśli kiedykolwiek znów spotka Thrashera... Sprawdził schowek na mapy. Tak, starczy mu naboju.

Wreszcie zobaczył drogę, która wydała mu się znajoma. Kilometr dalej stał dom, właściwie rudera. Szyby w oknach były posklejane taśmą. Czy tylko na takie lokum stać w tych stronach świetną prawniczkę? Nic dziwnego, że Rosebud nie chciała, by ją odwiedzał.

Wynagrodzi jej to. Te wszystkie przykrości.

Wysiadł z samochodu, ściskając pod pachą skrzynkę. Pierwsza rzecz, na jaką zwrócił uwagę, to grobowa cisza. Nie słyszał nic, nawet szumu wiatru. Nagle powietrzem wstrząsnął krzyk. Dochodził zza domu.

- Rosebud, nie!

Dan pognał w jego kierunku. Zdążył zobaczyć, jak jego księżniczka zrzuci z siebie Emily Mankiller, jakby ta była natrętną muchą. Starsza kobieta upadła na ziemię.

- Nie... - To było ostrzeżenie. Ale nie ostrzegała Rosebud, tylko jego, Dana. Kiedy na niego patrzyła, z jej oczu wycierał smutek.

Rosebud, w sukience z kozłej skóry i skórzanych mokasynach, z rozpuszczonymi włosami powiewającymi na wietrze, którego nie czuł, z torbą przewieszoną przez ramię, stała przy koniu, trzymając w lewej ręce wodze. Prawej ręki nie widział.

Powoli, jakby w zwolnionym tempie, obróciła się i napotkała jego spojrzenie. Faktycznie była blada jak kreda. Po chwili puściła wodze. Teraz oburącz trzymała wycelowany w niego pistolet. Dan odruchowo uniósł obie ręce. Skrzynka upadła na ziemię.

- Powinnam była wiedzieć... - powiedziała beznamiętnym tonem. - Właściwie wiedziałam. Nie mam nic na swoją obronę.

Krew tak mocno dudniła Danowi w skroniach, że mimo panującej wokół ciszy ledwo słyszał jej głos.

- Rosebud, nie! - zawołała błagalnie Emily.

- To ty mi kazałaś się do niego zbliżyć. Ty mi kazałaś zamącić mu w głowie i starać się wydobyć z niego jak najwięcej informacji. Spełniałam polecenia, tak jak zawsze. - Głos się jej załamał. Po chwili kontynuowała, tym razem zwracając się do Dana: - Nie chciałam ci ulegać. Myślałam, że jestem silniejsza, że to ja cię zabajeruję, ale mi nie wyszło. Nie zdołałam się oprzeć twojemu urokowi. - Roześmiała się gorzko.

Poczuł nieprzyjemne klucie w sercu. Manipulowała nim? Taka myśl nawet nie przysłała mu do głowy.

- Przepraszam! - Emily była bliska hysterii. - Nie chciałam tego! - Popatrzyła na Dana. - Nic mi o panu nie mówiła, przysięgam!

Klucie w sercu lekko zelżało, ale nadal nie wiedział, na czym stoi. Miał dowody przeciwko Cecilowi, ale to jego Rosebud trzymała na muszce.

Odchrząknął. Nigdy nie prowadził negocjacji pod bronią, ale nie miał wyjścia.

- Co się stało? - spytał, modląc się, aby proste pytanie nie kosztowało go życia.

- Już nie musisz udawać. Widziałeś zdjęcia, pomogłeś Cecilowi je zdobyć. Postarałeś się, żeby dokładnie widać było moją twarz. - Rosebud zacisnęła powieki, jakby usiłowała pozbyć się z pamięci jakichś obrazów.

Zdjęcia? Cholera jasna! Nawalił. Oczywiście nikomu nie pomagał, ale to było nieważne. Po prostu obiecał Rosebud, że nie spotka jej krzywda. Niestety nie zdołał ochronić jej przed Cecilem i Thrasherem. Zawiódł ją i być może nigdy, pomyślał, patrząc na broń w jej rękach, nie będzie miał szansy naprawić tego błędu.

- Nic o tym nie wiedziałem.

- Myślałam, że ci na mnie zależy. Że mogę ci ufać. - Pociągnęła nosem.

Nie wiedział, czy płacze nad sobą, czy nad nim.

- Kocham cię, Rosebud.

- Puste słowa. - Uniosła wyżej broń, a on z trudem powstrzymał odruch, by skryć się w aucie. - Kłamstwa.

- Nie, to prawda. - Przynajmniej jeszcze go nie zastrzeliła. - Chciałem poczekać, aż załatwimy sprawę zapory, a potem prosić cię o rękę.

- Nie chcesz mieć żony - oznajmiła. Łzy zaczęły spływać jej po policzkach. - Sam to mówiłeś.

- Ale ty byłąbyś nie tylko żoną. Byłąbyś przyjacielem, kochanką, partnerką.

- Dan... - Opuściła nieco rękę.

- Cecil za wszystko zapłaci. Nie daruję mu tego, co ci zrobił.

Rosebud ponownie wymierzyła w Dana. Wolno odciągnęła kurek.

- Raz można mnie oszukać, ale nie dwa razy...

W tym momencie zadzwoniła komórka. Oboje podskoczyli. Rosebud cofnęła palec z kurka.

- To ważne - powiedział Dan, wyjmując telefon z kieszeni. - Armstrong, słucham.

- Dan Armstrong?

- Tak.

- Mówi Carlson.

- James Carlson?

Na dźwięk nazwiska Rosebud poderwała głowę tak gwałtownie, że jej koń się wystraszył.

- Tak, James Carlson z Departamentu Sprawiedliwości. Thomas Yellow Bird powiedział, że ma pan coś, czego szukam.

- Zależy, czego pan szuka.

- Zna pan Rosebud Donnelly?

- Owszem, jest tu teraz ze mną.

Rosebud zmarszczyła czoło.

- Jakiś czas temu kontaktowała się z panem w sprawie śmierci swojego brata - ciągnął Dan. - Podejrzewa, że był w to zamieszany mój wuj, Cecil Armstrong.

- Jest pan, jak widzę, na bieżąco. A zatem czy ma pan coś, co mogę wykorzystać?
- Wykorzystać w jakim celu?
- Najpierw proszę mi powiedzieć, czym pan dysponuje.

W porządku, czas wyłożyć karty na stół.

- Znalazłem należącą do wuja skrzynkę. W środku są plany budowy ośrodka rekreacyjnego, listy nazwisk, dat i przekazanych sum pieniędzy. A także blaszki identyfikacyjne, chyba Tannera Donnelly'ego.

Obie kobiety wciągnęły z sykiem powietrze, Emily rozpląkała się.

- Pieniądzy, powiada pan?
- Myślę, że wuj zapłacił paru sędziom, żeby wkupić się w ich łaski.
- Nie wiem, czy pan się orientuje, ale szykujemy akt oskarżenia przeciw Cecilowi Armstrongowi i Armstrong Hydro. Pańskie informacje mogą być dla nas bezcenne.

Zaraz, przeciwko Armstrong Hydro, działowi Armstrong Holdings? Dan usiłował się skupić. Przeszkadzały mu wycelowana broń, szloch Emily i wrogie milczenie Rosebud.

- Na co mogę w zamian liczyć?

W słuchawce zaległa cisza.

- Co by pan chciał?
- Nie ruszajcie mojej firmy. Cecil wyjechał z Teksasu pięć lat temu i od tej pory działa na własną rękę.

- Nie wiem, czy mogę panu to obiecać.

- W takim razie spalę skrzynkę - zagroził Dan.

Uniesiona ręka całkiem mu zdrętwiała.

- Proszę tego nie robić.
- Przekażę panu wszystkie dowody, jeśli nie będziecie się czepiać mojej firmy. Ani Rosebud.

Na drugim końcu linii znów nastąpiła cisza. Dan zastanawiał się, czy Carlson specjalnie przeciąga rozmowę, żeby namierzyć jego telefon.

- A co ma Rosebud do tego?

- Podejrzewam, że Cecil ją szantażuje, że ma kompromitujące ją zdjęcia. Chciałbym, żeby je zniszczono, żeby nikt ich nie oglądał.

- Kogo jeszcze przedstawiają?

- Mnie.

Nastąpiła długa pauza.

- Powiedział pan, że Rosebud Donnelly jest obok?

- Tak.

- Co robi?

- Celuje do mnie z broni.

Carlson gwizdnął.

- Proszę mi ją dać do telefonu.

- James Carlson chce z tobą mówić - rzekł Dan, podając jej komórkę.

Chwyliła ją jednym szybkim ruchem.

- To ja... Nie... Tak... - Zamknęła oczy. - Są straszne, James. Tak... Dobrze...

Thrasher musiał ich jednak śledzić. To jedyne wytłumaczenie, pomyślał Dan. Znalazł chatę, poczekał zaczajony, a potem...

Jedno pudło naboju nie wystarczy.

- Powiedział... - Rosebud wzięła głęboki oddech. - Cecil powiedział, że jeśli jutro zjawię się w sądzie, zdjęcia i nagranie trafią do... - Nie dała rady dokończyć.

Wstrząsnął nią szloch.

W Dana wstąpiła furia. Cecil mu za to zapłaci! Thrasher też.

- Ale... Tak... Przysięgasz? - Wolno opuściła broń. - Wiem, rozumiem... Dobrze... Nie, na pewno. Obiecuję. - Po chwili wyciągnęła słuchawkę do Dana. - Chce z tobą rozmawiać.

W pierwszym odruchu chciał odebrać jej broń, ale uznał, że zdrętwiała ręką niewiele zdziała.

- Słucham?

- Zrobimy tak - rzekł Carlson. - Pan mi da dowody przeciwko Cecilowi, a pana firma zostanie ukarana grzywną w wysokości równej wręczonym łapówkom.

- A Rosebud?

- Wyjaśniłem jej, że szantaż to poważne przestępstwo. Niestety zdjęć jeszcze nie mogę zniszczyć, ale przysięgam, że nigdy nie ujrzą światła dziennego.

- Dlaczego miałbym panu ufać?

- Rosebud nie mówiła o mnie?

Nagle Dan doznał olśnienia.

- James... przyjaciel ze studiów?

Rosebud skinęła głową.

- Ona musi pojawić się jutro w sądzie.

- Nie.

- Zgodziła się. Wystarczy nam pięć minut. Niech Cecil puści nagranie. Wszystkiego dopilnuję. Film i zdjęcia nie trafią w niepowołane ręce. A Cecil trafi za kratki.

- Zgodziłaś się? - Dan zwrócił się do Rosebud.

- Popełniłam błąd - odrzekła. - Za błędy się płaci.

- Jeszcze jedno - dodał Carlson. - Zabroniłem jej strzelać do pana. Jest pan teraz świadkiem.

- Super. Co z Cecilem?

- Czekamy. Kiedy tylko umieści materiał w internecie, aresztujemy drania. Oraz niejakiego Thrashera. Yellow Bird uważa, że to on zabił Tannera.

- A czego pan ode mnie oczekuje?

- Żeby w obecności wuja zachowywał się pan normalnie. Potrzebuję go żywego.

Rozumiemy się?

- Rozumiemy.

- W porządku, będziemy w kontakcie.

- Co się stało? - Emily podeszła do młodszej kobiety. - Kochanie?

Skierowawszy wzrok na swoją rękę, Rosebud dopiero w tym momencie zorientowała się, że trzyma broń.

- Boże... Mówiłam, że już nigdy... - Urwała.

- Cii, już dobrze - usiłował ją pocieszyć Dan.

- Nic nie jest dobrze! Wszystko schrzaniłam!

Odwróciła się i wskoczyła na konia. Pinto stanął dęba, po czym pogalopował przez wysoką trawę. Po chwili koń i amazonka zniknęli za niedużym wzgórzem.

Dan zamierzał rzucić się w pogoń, ale nagle poczuł, jak ktoś go chwyta za ramię.

- Nie - powiedziała Emily. - Zostań. Pozwól jej ochłonać. Ona...

Nie dokończyła. W tym momencie ponownie zadzwonił telefon.

TLR

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Prawnik Cecila coś powiedział, a Cecil wybuchnął gromkim śmiechem. Dan z trudem się kontrolował. W nocy spał ze dwie godziny. Kiedy zamykał powieki, natychmiast pojawiała mu się przed oczami twarz Rosebud. Martwił się o nią. Nie odbierała telefonu. Dzwonił więc do Emily, by dowiedzieć się, czy ta ma jakieś informacje. Nie miała. Przeszedł dzwonić o północy.

W sali sądowej nie wiedział, gdzie ma patrzeć. Na wprost? Tam siedział Cecil, a jego widok działał na niego jak płachta na byka. Kiedy wczoraj wuj spytał z przebiegłym uśmiechem o jego spotkanie z „tą Donnelly”, odparł, że nie widzieli się, bo Rosebud bolała głowa. Thomas Yellow Bird kazał mu udawać głupka i tak robił. Z powodzeniem. Bo Cecil niczego się nie domyślał.

Po lewej stronie siedział Thrasher. Jego widok działał na Dana jeszcze gorzej.

Po prawej znajdował się stół, przy którym powinna siedzieć Rosebud. Nie było jej w sali. Nie było żadnego przedstawiciela Lakotów.

Wczoraj chciał ruszyć za nią w pogoń, ale powstrzymała go Emily, a potem zadzwonił Yellow Bird. Umówili się na przekazanie skrzynki. Yellow Bird wytłumaczył mu, dlaczego nie powinien sam wymierzać sprawiedliwości. Ważne było, by Cecil niczego nie zaczął podejrzewać. Dlatego Dan spędził wieczór w domu i zjadł z wujem kolację.

Cecil i Thrasher trafią za kratki, firma Armstrong Holdings odzyska dobre imię, plemię Lakotów zachowa swoją ziemię. Odniósł zwycięstwo, ale jakoś się nim nie potrafił cieszyć. Jak ma poprawić swoje relacje z Rosebud, skoro nie wie, gdzie ona się podziewa? Była zła. Nic dziwnego. On też nie posiadał się z wściekłości. Zaryzykowała, obdarzając go zaufaniem, i źle na tym wyszła. Musi ją przekonać, że to nie była jego wina.

Chciał zabrać ją stąd, z miejsca, z którym wiązały się nieprzyjemne wspomnienia. Mogliby zamieszkać w jego domu w Teksasie. Przedstawiłby Rosebud swojej matce, pokazał jej, że w niczym nie przypomina wuja, że jest człowiekiem honoru, który geny

odziedziczył po rodzicach, ludziach prawych. Ale nie mógł jej nic wyjaśnić, a tym bardziej się oświadczyć, skoro przepadła jak kamień w wodę.

Oprócz Cecila i Thrashera w sądzie było kilku miejscowych dziennikarzy i Yellow Bird, który siedział trzy rzędy za Danem. Z powodu okularów słonecznych, które miał na nosie, nie wiadomo było, kogo obserwował.

- Proszę wstać, sąd idzie - oznajmił męski głos. - Obradom przewodniczy sędzia Royce Maynard.

Dana zamurowało. Maynard? Ten z listy Cecila? Czyli Rosebud nie miałyby szansy. Całe szczęście, że Maria znalazła skrzynkę.

Swoją drogą, gdzie jest Rosebud? Wprawdzie póki jej nie ma, nagranie nie trafi do internetu, ale bez nagrania w internecie nie można oskarżyć Cecila o stosowanie szantażu. Nie wiadomo, czy inne dowody wystarczą.

- Proszę usiąść. - Maynard zajął miejsce i rozejrzał się. - Gdzie jest przedstawiciel plemienia Lakotów?

Dan starał się zachować neutralny wyraz twarzy. Nie mieściło mu się w głowie, że w sprawach życia i śmierci, bo o to przecież chodziło, może decydować człowiek, który sam jest przestępcą. Jeśli Rosebud się nie pojawi...

- Jestem, Wysoki Sądzie!

Dan obrócił się. Ubrana w swój nieodłączny kostium, stała w drzwiach, kurczowo ściskając teczkę. Jej spojrzenie niczego nie zdradzało. Po chwili pewnym siebie krokiem ruszyła w głąb sali. Obserwując ją, Dan wiedział, że sobie poradzi.

Rosebud Donnelly to najbardziej niezwykła kobieta, jaką spotkał. Przyjrzał się jej uważniej, kiedy go mijiała. Wzrok miała nieruchomy, jakby nieobecny. Nie widziała ani jego, Dana, ani Cecila, ani nawet sędziego. Sprawiała wrażenie, jakby funkcjonowała na autopilocie.

Skierował oczy na Cecila i ponownie ogarnęła go wściekłość. Całe szczęście, że nie miał broni, bo nie ręczyłby za siebie.

Rosebud zajęła miejsce. Cecil pochylił się i szepnął coś do Thrashera, po czym wyciągnął komórkę i zadzwonił, aby umieszczono w internecie nagranie.

- Spóźniła się pani, panno Donnelly - oznajmił gromkim głosem sędzia Maynard.

- Najmocniej przepraszam, Wysoki Sądzie.

- Panie Armstrong, sąd zaczął obrady - Maynard zwrócił się do Cecila. - Czy może pan schować aparat?

- Oczywiście, Wysoki Sądzie.

Dan wiedział, że długo nie wytrzyma: łaknął krwi. Jednym telefonem Cecil puścił maszynę w ruch. Na razie wszystko szło zgodnie z planem, ale... Szybciej, do cholery, szybciej! Chciał odzyskać Rosebud. Chciał udowodnić jej, że nie zrobił nic złego. Chciał, by Cecil i Thrasher zapłacili za swoje podłe czyny.

Sędzia spytał, czy któraś ze stron pragnie złożyć oświadczenie.

- Tak. - Rosebud wstała. - Wysoki Sądzie, Lakotów nie pokonała oспа, kolej żelazna ani wojsko amerykańskie. Przetrwaliśmy najazd poszukiwaczy złota na Góry Czarne i przekształcenie naszej ziemi w rezerwat. Nie pokonała nas chciwość białego człowieka...

Dan słuchał z zapartym tchem. Cecil chciał ją zniszczyć, podeptać jej godność, lecz Rosebud nie zamierzała poddać się bez walki.

- Przetrwaliśmy... - zacisnęła powieki, po czym ciągnęła silnym głosem: - próby zastraszania, morderstwa i szantaż.

Ktoś na sali prychnął, chyba Thrasher.

- My, plemię Lakotów, nie załamaliśmy się w obliczu cierpienia, tragedii i upokorzeń. Ale jeżeli na rzece Dakota powstanie zapora, a ziemię naszą zaleje woda, skażecie nas na los gorszy od śmierci. Dokonacie tego, czego nie zdołali dokonać biali ludzie przed wami: skażecie nas na nieistnienie. Plemię Lakotów dosięgnie zagłada.

Duma, jaka przepełniła Dana, pozwoliła mu na moment zapomnieć o zapiekłej furii. Cecil nie pokonał Rosebud. Jak mógł przypuszczać, że wujowi się to uda? Rosebud była zbyt silna, aby ulec presji szantażu.

Czy wie, że ją kocha?

Następnie wstał prawnik reprezentujący Armstrong Hydro i zaczął wygłaszać mowę, w której mnóstwo było szumnych słów typu: postęp, rozwój, cywilizacja. Dan powtarzał sobie, że nie wolno mu nawet mrugnąć powieką; bał się, że jeśli drgnie, Yellow Bird wpakuje mu kulę w tyłek.

Prawnik gadał i gadał. Ciekawe, na co Cecil czeka? Pewnie nagranie trafiło już do internetu.

- Zapoznałem się ze sprawą - rzekł Maynard, kiedy strony zakończyły wygłaszanie oświadczeń. - I stwierdzam, że nie ma podstaw do wydania nakazu wstrzymania prac przy budowie zapory. - Rozległo się uderzenie sędziowskiego młotka.

Czas jakby się zatrzymał. Dopiero po dłuższej chwili do sali wpadło kilku umundurowanych funkcjonariuszy. No, nareszcie, pomyślał Dan, zrywając się z miejsca. Musi porozmawiać z Rosebud.

- Co tu się dzieje? Proszę o spokój! - Sędzia ponownie łupnął młotkiem w stół.

Dan przeskoczył przez barierkę i wyminawszy policjanta, ukląkł przed Rosebud.

- Rosebud...

Zamknęła oczy, odwróciła głowę. O nie! Nic złego nie zrobił. Kocha ją.

- Spójrz na mnie - poprosił.

Do sali wkroczył wysoki mężczyzna w garniturze.

- Wysoki Sądzie, jestem James Carlson z Departamentu Sprawiedliwości. Mam nakaz aresztowania Cecila Armstronga.

Podał nakaz Cecilowi, który rzucił kartkę z obrzydzeniem, jakby była radioaktywna.

- Nakaz? A niby o co jestem oskarżony?

Nagle salę wypełnił krzyk:

- Wszyscy na ziemię!

Rozległ się strzał. Działając instynktownie, Dan pchnął Rosebud na podłogę i osłonił własnym ciałem. Jęknęła.

- W porządku? - spytał. - Nic ci nie jest?

Leżała bez ruchu, z zaciśniętymi powiekami. Wcześniej umiejętnie odegrała rolę pewnej siebie prawniczki, teraz zaś wyglądała tak, jakby miała zemdleć.

- Powiedz... jak to się skończy - szepnęła.

Była przerażona. W tym momencie nic innego nie liczyło się dla Dana, żaden Cecil, firma czy zaporę. Tylko Rosebud. Tylko na niej mu zależało.

- Dobrze. Nie dam cię skrzywdzić.

Skinąwszy głową, wcisnęła twarz w jego szyję. Objął ją mocno. Tu było jej miejsce, w jego ramionach.

- Cii, już dobrze - szepnął, tuląc ją do siebie. Chwyliła go za poły kurtki i przytuliła się jeszcze mocniej. Poczuł, jak zalewa go ulga. - Jestem tu. Byłaś wspaniała. Walczyłaś jak lwica.

- Musiałam. - Jej oddech łaskotał go po szyi. - Dla mojego plemienia. Dla Tannera. Nieopodal coś zatrzeszczało, ktoś stęknął.

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła Rosebud.

Potrzebowała go. Nadał mu ufała.

- Nie zostawię.

Usłyszał huk, krzyki, a potem nagle zapadła cisza. Ostrożnie obejrzał się za siebie.

Yellow Bird przygniatał Thrashera kolanem do ziemi. Któryś z nich krwawił.

- Trzy lata czekałem na tę chwilę - wycedził Yellow Bird. - Jesteś, skurwielu, aresztowany za zabójstwo Tannera Donnelly'ego.

- Już po wszystkim? - spytała Rosebud.

- Prawie, mała.

Maynard kazał strażnikowi opróżnić salę.

- Z całym szacunkiem, Wysoki Sądzie, ale pan tu już nie ma władzy. - Carlson podał sędziemu pismo. - Jest pan aresztowany za przyjmowanie łapówek.

- Zabierz te swoje łapy! - ryknął Cecil. - Dan, zrób coś!

W głosie Cecila słychać było strach. Dan uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Nigdzie nie idę - szepnął Rosebud do ucha, po czym wstał i obrócił się.

Cały czas trzymał rękę zaciśniętą na jej ramieniu.

Zerknął na wuja, który ręce miał skute na plecach. Sala wyglądała jak pobojuwisko. Yellow Bird podciągnął Thrashera na nogi. Strażnik z krwawiącym nosem - Thrasher pewnie usiłował przechwycić jego rewolwer - mierzył w niego z broni. Nawet Maynard trzymał ręce w górze, kiedy policjant informował go o jego prawach.

- Dan? Proszę cię, zrób coś! Jesteśmy rodziną!

Błagaj, to muzyka dla moich uszu, pomyślał Dan, ale nie powiedział tego na głos. Skupił się na Rosebud.

- Już po wszystkim - rzekł, siląc się na spokojny ton. - Już nikt cię nie skrzywdzi.

Cecil wyrzucił z siebie stek przekleństw. Dan nie słuchał. Wpatrywał się w Rosebud. Następny ruch należy do niej.

Nie chciała na nic patrzeć. Nie chciała widzieć Cecila i Thrashera, zastanawiać się, czy ktoś jest ranny, kto ma broń i czy przypadkiem jakaś lufa nie jest wycelowana w nią lub w Dana.

- Panno Donnelly? - James Carlson brzmiał poważnie, jak prawnik, którym był obecnie, a nie jak kochanek, którym był przed laty. - Nic pani nie dolega?

Wiedziała, że musi się wziąć w garść. James tu jest. Dan. Cecil... Chyba że ktoś go ukatrupił?

- Panie Carlson...

Z jednej strony ta urzędowa forma wydała jej się śmieszna. James widywał ją nagą, przypuszczalnie widział zdjęcia, którymi Cecil ją zaszantażował. Z drugiej strony jedyną osobą na świecie, która znała charakter jej znajomości z Jamesem, był Dan. Inni wiedzieli tylko tyle, że James Carlson i Rosebud Donnelly studiowali razem prawo. Wolałaby, żeby tak zostało.

Poprawiła spódnicę, otrzepała żakiet, po czym wyszła zza Dana. Tych kilka sekund wystarczyło, aby zebrała się w sobie. Rozejrzała się i natychmiast tego pożałowała.

Sala sądowa wyglądała jak pole bitwy. Bariierka odgradzająca obrońców i oskarżycieli od publiczności leżała wsparta o pierwszy rząd krzeseł. Stół obrony znajdował się w czterdziestu kawałkach. Wszędzie stali policjanci z odbezpieczoną bronią.

Pośrodku tego chaosu zobaczyła Jamesa. Trochę się postarzał, włosy miał lekko przyprószone siwizną, zwłaszcza na skroniach. Wyglądał jak polityk. Pomyślała sobie, że dzisiejsza sprawa na pewno pomoże mu w karierze. Spoglądając na skutego Armstronga, uśmiechnął się. Nic dziwnego, że był zadowolony; trzy lata ciężkiej pracy wreszcie się opłaciły.

- Panno Donnelly, rząd Stanów Zjednoczonych dziękuje pani za cierpliwość - oznajmił, ściskając jej dłoń. - Ja też chciałbym wyrazić wdzięczność za pani pomoc.

- Mam nadzieję, że sprawiedliwości stanie się zadość - powiedziała Rosebud, czując ciepło bijące z jego ręki. Wiedziała, że James nigdy jej nie kochał, ale darzył ją

ogromną sympatią. - Dotrzymałam słowa. Czy mogę liczyć, że pan też dotrzyma, panie Carlson?

- Materiał był w sieci niecałą minutę. Potem osobiście go usunąłem. Nikt nic nie widział.

Rosebud odetchnęła z ulgą.

- I nie zobaczy?

- Przysięgam. - Uścisnął ponownie jej dłoń, po czym starając się nie okazywać zazdrości, zerknął na Dana.

Rosebud również na niego spojrzała. Dan postąpił krok naprzód i władczym gestem objął ją w pasie.

- Czy zna pan Dana Armstronga? - spytała Jamesa.

- Rozmawialiśmy przez telefon. - Mężczyźni wymienili uścisk dłoni. - Panie Armstrong, Departament Sprawiedliwości ma wobec pana dług wdzięczności.

Długo mierzyli się wzrokiem, jakby jeden drugiemu chciał coś pokazać. Mężczyźni, pomyślała Rosebud z politowaniem. Mimo to zrobiło się jej przyjemnie.

- To twoja sprawka? - spytał Cecil, dysząc z oburzenia.

Tak, odniosła triumf, ale drogo ją to kosztowało: Tanner nie żył, a ona miała trzy lata wyjęte z życia. Sprawiedliwość zwyciężyła. I co teraz?

- Mieliśmy dżentelmeńską umowę, Carlson - rzekł Dan, obejmując ją mocniej.

- Może pan być spokojny, Armstrong.

Mężczyźni ponownie wymienili uścisk dłoni. Twarz Cecila stała się purpurowa.

- Będziemy panu jeszcze potrzebni?

- Nie, mamy już skrzynkę.

- Zdrajca! - ryknął Cecil.

Rosebud zrozumiała, jak bardzo skrzywdziła Dana. Jak, skupiona na sobie, źle go oceniła. Dan jej nie zrobił. Tak jak obiecał, cały czas trzymał się planu.

- Jak można się z panem skontaktować? - spytał James, który również nie zwracał uwagi na Cecila.

Dan wyjął z portfela wizytówkę, a raczej dwie.

- Na pierwszej jest numer mojej komórki. Na drugiej numer domowy mojej matki, Betty Armstrong. Rosebud i ja spędzimy u niej kilka dni.

- Co takiego? - zdziwiła się.

Przecież jego matka mieszka w Teksasie.

Dan wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Obiecałem mamie, że nie ożenię się z tobą, dopóki cię jej nie przestawię, więc trzeba jechać jak najszybciej. - Popatrzył na Jamesa. - Możemy?

Rosebud zakręciło się w głowie. Dan chce przedstawić ją matce i poślubić!

James zmierzył ich oboje uważnym wzrokiem.

- Panno Donnelly, nie będziemy wnosić oskarżenia przeciwko Danowi Armstrongowi. Wierzmy, że był nieświadomy nielegalnych poczynań Cecila Armstronga.

Rosebud milczała oszołomiona. Dan nie wiedział o zdjęciach, nie miał nic wspólnego z nagraniem. W dodatku chciał się z nią ożenić.

- Panno Donnelly - James ponownie zabrał głos. - Chce pani jechać do Teksasu?

Wszyscy zamilkli, nawet Cecil zamknął usta. Miała wrażenie, jakby cały świat czekał na jej odpowiedź.

- Jedź ze mną - szepnął Dan. - Ty i ja. Rosebud i Dan. Niczego więcej nie pragnę.

Zacisnęła powieki i wzięła głęboki oddech. W nozdrza uderzył ją zapach drzewa sandałowego. Przyłożyła dłoń do piersi Dana. Czowała, jak bije mu serce. Dan i Rosebud. Ona również niczego więcej nie pragnęła.

- Panie Carlson, gdyby mnie pan potrzebował, proszę szukać mnie w Teksasie.

EPILOG

W grudniu Shane Thrasher został oskarżony między innymi o zabójstwo Tannera Donnelly'ego i skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia, z możliwością zwolnienia warunkowego. Złożył szczegółowe zeznania na temat zleceń, jakie w ciągu ostatnich lat wykonywał na żądanie Cecila Armstronga.

Niemal rok później Cecil został skazany na karę trzydziestu pięciu lat, bez możliwości zwolnienia warunkowego. Zważywszy, że miał siedemdziesiąt trzy lata, oznaczało to wyrok dożywotni. Rewizja jego ksiąg rachunkowych wykazała, że sprzeniewierzył miliony dolarów z majątku Armstrong Holdings.

Jedyną osobą z rodziny obecną w sądzie była Betty Armstrong. Słuchała ogłoszenia wyroku, trzymając za rękę Emily Mankiller. Obie kobiety wyprowadził z sali Thomas Yellow Bird; żadna nie chciała rozmawiać z tłumem dziennikarzy czekających na zewnątrz.

Dan Armstrong stawiał się w sądzie wyłącznie na wezwanie. Był bardzo zajęty. Swój czas dzielił między Armstrong Petroleum w Wichita Falls w Teksasie i Armstrong Hydro w Sioux Falls w Dakocie Południowej. W chwili ogłaszania wyroku nadzorował budowę zapory z elektrownią przepływową na rzece Dakota, piętnaście kilometrów na południe od rezerwatu. Współwłaścicielem zapory było plemię Lakotów, członkowie plemienia stanowili też połowę ekipy budowlanej.

Rosebud skupiła się na walce o prawa Indian. Była pierwszą kobietą z plemienia, która wygrała sprawę w Sądzie Najwyższym. Po tym zwycięstwie, o którym głośno było w całych Stanach, na polecenie lekarza przystopowała z pracą. W dniu, kiedy Cecila zabierano z sądu, siedziała w pokoju dziecięcym w domu, z którego rozciągał się widok na rzekę Dakota, i kończyła szyć kołderkę dla małego Tannera. Kołderka Lewisa leżała już w kołysce. Bała się, że nie zdąży, bo bliźniacy, którzy mieli się urodzić za dwa tygodnie, strasznie kopali, ale na szczęście zdążyła.

Mieszkała z mężem w nowym domu zbudowanym na neutralnym terenie. Jej rodzina mieszkała nieopodal, a do Betty w Teksasie jeździli najczęściej, jak się dało.

O niczym więcej nie marzyła. Dan i Rosebud. A wkrótce: Dan, Rosebud, Tanner i Lewis. Nareszcie spełniły się jej marzenia.



TLR